ROK XI WARSZAWA, LISTOPAD-GRUDZIEŃ 1936 Nr 5

RUCH LITERACKI

ZAŁOŻONY PRZEZ BRONISŁAWA GUBRYNOWICZA

TREŚĆ

TOWARZYSTWO LITERACKIE IM. A. MICKIEWICZA
ODDZIAŁ WARSZAWSKI

INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLIOTEKA POLSKA" WARSZAWA

NOTATKI

ROK XI WARSZAWA, LISTOPAD-GRUDZIEŃ 1936 Nr 5

RUCH LITERACKI

ZAŁOŻONY PRZEZ BRONISŁAWA GUBRYNOWICZA

KTO JEST AUTOREM PRZYPISANEGO MICKIEWICZOWI ARTYKUŁU O CERKWI ROSYJSKIEJ?

W miesięczniku paryskim „Le Polonais", w zeszycie z lutego 1835 r., ogłoszono anonimowo dłuższy artykuł pt. „De l'action politique de l'Eglise russe". W r. 1922 ukazała się w Poznaniu broszura, zawierająca przedruk, wraz z przekładem, tego artykułu, a we wstępie uzasadnienie domniemania, wyrażonego już na okładce, że rozprawa ta wyszła spod pióra A. Mickiewicza [1]. Uzasadnienie wypadło wcale przekonywająco: Autor oparł je głównie na materiale rękopiśmiennym nieznanym, zaczerpniętym z archiwum po redakcji „Le Polonais". Jużcić nie doprowadził on wywodu do wniosku absolutnie zdecydowanego. Autorstwa jest wprawdzie pewien. Ale nie jest równie pewien, czy artykułu nie tłumaczono w redakcji z polskiego na francuski; a może — może nawet przygotowano go tam na podstawie notatek poety? Bądź co bądź, chociażby z drobnym zastrzeżeniem, teza o autorstwie Mickiewicza, a co najmniej o udziale w autorstwie, postawiona i podtrzymana została wyraźnie.

Po ogłoszeniu drukiem nie spotkała się ona po recenzjach z głosem sprzeciwu, czy choćby sceptycyzmu; argumenty wydały się na ogół dostatecznie ważkie. Przeświadczenie, że uzyskaliśmy nową pozycję z zakresu publicystyki poety, przetrwało lat już niemal ćwierć kopy. Przez sam przeciąg lat przybrało ono na sile.

Trudno zresztą było nie ufać. Kiedy w r. 1908 J. Tretiak wystąpił z tezą, że spod pióra Mickiewicza wyszła, a tylko kryptogramem z nazwiska przyjaciela okryta została, broszura „De l'emigration des Allemands en Russie" [2], domysł swój opierał on na pewnej wzmiance w liście Zaleskiego, a więc na świadectwie postronnym, do tego bardzo mało wyraźnym i — jak się z czasem pokazało — bałamutnie interpretowanym. Tutaj tymczasem fundamentem przypuszczenia pierwszym były słowa samego poety — słowa niedwuznaczne; również świadectwo postronne, do nich nawiązujące, wydało się najdowodniejsze. A przecież mimo wszystko...

Omawiany tu problem jest, merytorycznie biorąc, wagi ostatecznie niedużej. Gra idzie o pozycję w rejestrze dzieł Mickiewicza co najmniej piątorzędną. Ale gra może być interesująca z innego względu: metodycznie. Mamy do czynienia z wypadkiem, który mógłby być użyty doskonale za przykład w jakimś podręczniku metodologii filologicznej, w rozdziale traktującym o heurystyce, mianowicie o ustalaniu autorstwa. Sposobem prawie klasycznym można

[1] Działalność polityczna Kościoła rosyjskiego. Domniemany artykuł A. Mickiewicza. Przetłumaczył i wstępem poprzedził dr A. Lewak. Poznań 1922.
[2] Biblioteka Warszawska 1908, III. 30.

na nim ukazać kuszące ułudy i chytre zasadzki, jakie czyhają na badacza, który się pokusi o zadanie tego rodzaju; można unaocznić, jaka doza ostrożności i krytycyzmu niezbędna jest na tych drogach.

Z tego samego chociażby względu warto wziąć problem ten na warsztat krytyczny.

Powiedzmy od razu: Wszystko zdaje się świadczyć, że teza o autorstwie Mickiewicza jest w omawianym wypadku słuszna i ugruntowana jak najmocniej. Bo zważmy:

Stosunek Mickiewicza do „Le Polonais" był bliski. Kiedy przed założeniem tego miesięcznika omawiano jego charakter w Towarzystwie Literackim, Mickiewicz, jak wiadomo, wygotował dla niego programowe idee wytyczne; wiadomo również, że był on razem z Montalembertem upatrzony na jego redaktora. [1]

Plan uległ zmianie. Redakcję objęli Wł. i C. Platerowie; oblicze ideowe pisma w inne się ułożyło rysy. Według zamysłu poety miało ono być bramą wypadkową dla idei polskiej, idei wiary i wolności, solidarności ludów; w rzeczywistości stało się raczej bastionem obronnym. Zamiast zdobywczych zawezwań do walki o nowy ustrój świata, z kart jego częściej słychać było obronę dobrego imienia Polski, głosy oburzenia na okrucieństwa dokonywane w Polsce przez Rosję, oraz — znacznie rzadsze — wyrazy sympatii, płynące ku Polsce od nie nadmiernie licznych przyjaciół z Europy i Ameryki. Pismo w rękach Platerów miało więc charakter informacyjny i obronny, przynosiło wiadomości o Polsce dawnej i współczesnej, zwalczało wystąpienia propagandy antypolskiej, wcale pilnie podtrzymywanej przez państwa zaborcze. Przy tak pojętych zadaniach pisma, działy: historyczny, polityczny, literacki i ściśle już kronikarski wypełniały normalnie jego karty.

Do współpracownictwa w nim zdołano zjednać niezbyt liczną garść cudzoziemców, jak Montalembert, Ballanche; z Polaków pisali tam Czartoryski, Niemcewicz, Plater, K. Hofman, Morozewicz, Jański, Witwicki i in. W dziale literackim poczesne miejsce przypadło Mickiewiczowi. Ukazały się tam tłumaczenia kilku jego utworów[2] oraz parę rozpraw krytycznych o jego twórczości [3]. Żaden inny z twórców polskich nie zajął w „Le Polonais" tyle miejsca.

Wzajemny stosunek poety do pisma był, jak się rzekło, życzliwy. Przez pewien czas zanosiło się nawet na to, że Mickiewicz wejdzie w skład redakcji i obejmie kierownictwo całego działu literackiego, obok Wrotnowskiego, Morozewicza, Jesmana czy Domejki, jako kierowników innych działów. We wrześniu 1834 r. plan był bliski zrealizowania, Mickiewicz skłaniał się do niego, a tylko stawiał pewne warunki (m. i. zastrzegał sobie pełną swobodę w prowadzeniu działu); ale już w październiku tr. uchylił się od takiego zobowiązania.

Nie przekreślał jednakowoż zobowiązania do współpracy innej: autorskiej. Do napisania artykułu dla „Le Polonais" zobowiązał się Mickiewicz przed jesienią 1834 r. Co to miał być za artykuł, zrazu nie wiadomo. Wiemy tylko, że wywiązanie się z obietnicy przychodziło poecie z trudnością. „Przykro mi, — pisał do C. Platera d. 23. IX. 1834 — że nie zrobiłem dotąd przyrzeczonego artykułu, ale dla różnych przeszkód nie byłem w stanie pracować". A w dwa dni później: „Artykułu dotąd nie napisałem i twardo mi idzie, nie jestem w hu-

---

[1] Zob. o tym Dzieła wszystkie, wyd. sejmowe, t. VI, s. 132 n.

[2] Fragmenty „Dziadów" w przekładzie Burgaud des Marets, I 179 n, II 71 n. „Świtezianka", III 31 n; „Farys" II 169; dwa przekłady „Do matki Polki" I 282 n, III 88 n.

[3] H. R. O „Księgach Pielgrzymstwa" (I 229 n.), J. M., O III cz. „Dziadów" (II 261 n.), St. Witwickiego i C. Platera o „Panu Tadeuszu" (IV 174., VI 44 n.)

morze pisania. Jeżeli masz czem zastąpić, zrobisz mi łaskę, a nie — to musicie czekać". Redaktor rzeczywiście „zastąpił", raz, drugi i trzeci. Czekanie przeciągało się wcale długo.

Niemniej Mickiewicz obietnicy nie cofał, a nawet dotrzymania jej nie odsuwał widać w daleką przyszłość, skoro redaktor z miesiąca na miesiąc liczył na artykuł. Wiemy o tym z notatek redaktorskich Platera. W jego „Carnet de la Direction du Polonais" czytamy pod d. 10 września 1834: „Będę u Mickiewicza po artykuł Sur l'Eglise d'Orient; jeszcze nie ukończony". Liczył jednak widocznie, że ukończony zostanie niebawem, skoro za tydzień, układając plan zeszytu na październik, notuje w dziale historycznym: l'Eglise d'Orient. Jest to oczywiście ten sam artykuł, o którego opóźnieniu się pisał Mickiewicz do Platera. Jakoż właśnie po otrzymaniu jego biletu z 23. IX. zanotował Plater d. 27. IX., że Mickiewicz jest niezdrów i że jego artykułu brak [2]. Niemniej widzimy już wyraźnie, o jaki to artykuł chodzi: Mickiewicz obiecał Platerowi napisać do „Le Polonais" rozprawkę o Cerkwi rosyjskiej.

Na rozprawkę tę musiał redaktor w rezultacie czekać dość długo, ale nadziei nie tracił: w każdym z numerów następnych r. 1834 rezerwował dla niego miejsce [3]. Wśród owych planów ostatnia notatka jest z grudnia i znowu zapowiada na styczeń rozprawę Mickiewicza „L'Eglise d'Orient" — w dziale „Varietés", obok artykułów: Czartoryskiego w dziale polityki i własnego o „Panu Tadeuszu" w dziale literackim [4]. W rzeczywistości do zeszytu styczniowego wszedł jeden tylko z tych artykułów; lwią część zeszytu zajęła rozprawa W. Grzymały o Piotrze Wielkim. Ale już w przypisku do tej rozprawy notuje redaktor: „Nous donnerons dans un prochain numéro quelques considérations spéciales sur l'Eglise russe" (IV 24). Jakoż w zeszycie następnym, lutowym, obok dokończenia rozprawy Czartoryskiego znalazł się zapowiadany artykuł o Cerkwi pod zmienionym nieco tytułem: „De l'action politique de l'Eglise russe" (IV 106—118). Z czasów późniejszych w zeszycie Platera dotyczy tego artykułu już jedna tylko zapiska, mówiąca, że wyszła jego odbitka z zeszytu i że nakład (300 egz.) wydano Grzymale („est remis à Grzymała"). Na tym urywa się w notatkach redakcji sprawa współpracownictwa Mickiewicza w „Le Polonais".

Do powyższych świadectw bezpośrednich dorzucić można jeszcze jedno, pośrednie, niemniej ważkie i wyraźne. W zbiorach rapperswilskich zachowało się sporo odbitek korektowych z różnych zeszytów „Le Polonais". Jest też korekta artykułu „De l'action politique".... Korekty w r. 1834 przeprowadzał i podpisywał w redakcji przeważnie J. M[orozewicz], w l. 1835 i 36 jakiś A. M. lub L. P. Korektę odbitki „De l'action politique", tę jedną-jedyną podpisał do druku B. J[ański], jak wiadomo, korektor „Pana Tadeusza" i współtłumacz z Montalembertem „Ksiąg Pielgrzymstwa" podówczas jeden z najbliższych przyjaciół Mickiewicza [5].

---

[1] Rękopis notatek, prowadzonych w języku francuskim, w Bibl. Narod. (arch. rapp.) rkp. nr. 1019.

[2] „27 Septembre: Mickiewicz est insa[lubre]. Son article manque".

[3] Dnia 3 października zapisał: „Eglise d'Orient. Mickie[wicz]"; dn. 8 paźdz.: „Article du Mickiewicz, „Eglise d'Orient". Dn. 18 paźdz. zanotowano, że artykuł o Cerkwi obejmie 8 stronic.

[4] Z końcem grudnia 1834 r. C. Plater, oddając redakcję bratu, zrobił zestawienie materiału na zeszyt styczniowy. Tam m. i. „Grzymała donne l'article sur les institutions en Pologne et sur Pierre le Grande. Je doi donner l'article sur Thadée... Mickiewicz sur l'Eglise d'Orient.

[5] Do jakiego stopnia Jański był troskliwy o szatę językową dzieł Mickiewicza, świadczy taki wypadek: Zobaczywszy w drukarni rękopis franc. przekładu „Dziadów" przez Burgaud des Marets, przeznaczony do druku w „Le Polonais", a dany tam bez wiedzy Mickiewicza, zabrał go własnowolnie i zaniósł poecie, by go skłonić do poczynienia poprawek. Zob. u Lewaka l. c. str. 29.

Zestawione w ten sposób dowody zewnętrzne zdają się świadczyć z całkowitą prawie pewnością, że wymieniony artykuł anonimowy w „Le Polonais" jest identyczny z zapowiedzianym przez Mickiewicza artykułem o Cerkwi, że wyszedł spod jego pióra. Wnioskowi temu nie sprzeciwiają się, owszem wzmacniają go, przesłanki wydobyte z analizy treści artykułu.

Artykuł leży na linii wytyczonych zadań pisma, zrodziła go potrzeba obrony sprawy polskiej przed inspirowanymi jej szkodnikami. Propaganda rządu rosyjsyjskiego (przede wszystkim, choć naturalnie nie jedynie) usiłowała oczywiście przeciwdziałać tej sympatii, jaką wnet po powstaniu listopadowym sprawa Polski, rzeczniczki wolności, obudziła w opinii europejskiej. W służbę swą wciągała ona wybitne pióra rosyjskie (książę Meszczerski i in.) i obce; trafiała też do czasopism francuskich, nawet do niektórych z obozu czy to postępowego, czy katolickiego. Mickiewicz raz już wyświecał był te osobliwego rodzaju pokrewieństwa z wyboru, smagał sarkazmem organy opinii francuskiej, które gościnnie otwierały karty propagandzie caratu; jeden z jego artykułów w „Pielgrzymie Polskim" całkowicie był poświęcony takiej właśnie szermierce z francuską publicystyką antypolską.

Punkt wyjścia artykułu w „Le Polonais" jest również polemiczny. Zdarzyło się mianowicie, że właśnie w r. 1834 wyszły dwie publikacje antypolskie, w znamienny sposób schodzące się w pewnym szczególe argumentacji. Książka Th. de K[norringa] „La Russie et la Pologne" (Berlin 1834) miała za zadanie dowieść, że upadek Polski został spowodowany przez jej własne winy i że jest niecofniony. Zdaniem autora, Polskę zgubiły anarchia i egoizm arystokracji, jednako działające przez całe jej dzieje; według niego nawet konstytucja 3 maja była dziełem zmowy panów, a powstanie listopadowe ostatnią rozpaczliwą próbą ratowania ich przywilejów. Porozbiorowe walki z najeźdźcami traktuje autor jako dowód niewdzięczności wobec państw, które zaprowadziły na ziemiach polskich ład w administracji, pobudowały drogi, podniosły przemysł itd. Autor poza tym nie wątpi, że wchłonięcie narodu polskiego przez rosyjski (oba zresztą mają jego zdaniem „une même origine") w jeden organizm państwowy jest nieodpartą koniecznością dziejową, taką samą, jaką było wchłonięcie Szkocji przez Anglię. Toteż kończy on swe dzieło wyrażeniem nadziei: „espérons que l'exemple de l'Angleterre et de l'Ecosse ne sera point perdu pour la Russie et la Pologne" (s.390).

Niewiele co później wyszła broszura „De l'avenir des nationalités de l'Europe" par M. R[ossi] (Paryż 1834), której myśl przewodnia dość jest podobna; i tam m. i. propaguje się i zapowiada zlanie się w jedno obu narodów: polskiego i rosyjskiego. Zdaniem autora łączy je nie tylko pochodzenie; mają one jeden wspólny język, religię co prawda różną, co jednak nie jest przeszkodą przy znanej carskiej tolerancji wobec wyznań: „mais le gouvernement de czars est le p r e m i e r en Europe, qui ait proclamé et respecté la liberté des cultes". W szczególności analogia między Szkocją i Anglią z jednej a Polską i Rosją z drugiej strony została tu również wyzyskana jako argument, popierający tezę. „Écosse! Écosse! — pisze autor — était aussi le cri de mort que poussait une nation entière contre les Anglais; et cependant existe-t-il maintenant un seul vestige de cette haine de huit cents ans? Il en sera même pour les Polonais et les Russes".

Z publikacjami tymi „Le Polonais" podjął szczegółową dyskusję polemiczną. Książce Knorringa poświęcono dwa artykuły (II 245 n., III 13 n.), z nich drugi, „Union forcée de la Pologne avec la Russie, comparée à l'union de l'Ecosse avec l'Angleterre", w całości zajął się wykazaniem nietrafności rzekomej paraleli. O broszurze zaś Rossiego traktuje jeden artykuł (III 221 n.). Autorowie wszyst-

kich tych polemik nie wahali się wskazać bez obsłonek, że inspiracje duchowe i materialne tych publikacji wyszły z jednego źródła, z Petersburga.

Rozprawa o Cerkwi rosyjskiej jest w tym łańcuchu polemicznym ogniwem dalszym. Całą jej część pierwszą poświęcono wykazaniu, że proces, jaki zaszedł w XVI w. między Szkocją a Anglią, jaki zresztą wcześniej jeszcze zaszedł między Litwą a Polską — obecnie między Polską a Rosją zajść nie może, a wszelkie na ten temat porównania są niedorzeczne. Tamte zjednoczenia się narodów dokonały się za przewodem obudzonych entuzjazmów religijnych: katolickiego w wypadku polsko-litewskim, protestanckiego w angielsko-szkockim. Podobną siłę jednoczącą mógłby mieć dzisiaj chyba tylko budzący się spontanicznie entuzjazm moralno-polityczny, zapał, jaki nieci w ludach hasło wolności. W stosunkach polsko-rosyjskich trudno jednak przypuścić tę możliwość. Czynnik zaś religijny w obchodzącym nas wypadku stanowić musi właśnie że stanowczą zaporę jakiemukolwiek zjednoczeniu polsko-rosyjskiemu. Różnica między Kościołem katolickim a Cerkwią prawosławną kładzie się wyraźną tamą między Polską a Rosją.

Autor artykułu w „Le Polonais“ zarysował tę różnicę wcale jaskrawo w środkowej części swych wywodów, podając dla ilustracji niektóre szczegóły i rysy charakterystyczne z organizacji Kościoła w Rosji. Rysy te ujmuje on, posługując się przeważnie zasadą przeciwstawienia dwóch obrządków, dwu obyczajowości, dwu odrębnych psychik, znamiennych dla obu wrogich narodów. Różnice wypływają z dwóch przeciwstawnych sobie źródeł, z których oba narody brały chrzest: z przeciwstawności Rzymu i Bizancjum, dwóch ognisk, z których się rodzą dwie odrębne kultury duchowe Europy.

Jeżeli o kulturę religijną chodzi, przeciwieństwo to da się sprowadzić do jednego mianownika: wyrasta ono z różnego ustosunkowania się Kościoła do państwa, a mianowicie z niezależności Kościoła zachodniego i z upodrzędnienia się despotyzmowi państwowemu w Kościele wschodnim. Autor, rozporządzając znacznym materiałem przykładowym, uzyskanym z autopsji i z lektury, przedstawia wyboczenia w dziejowym rozwoju tego Kościoła, ujętego w pęta despotyzmu państwowego i opłakany stan poniżenia duchowieństwa prawosławnego. W części trzeciej artykułu, wypełnionej prawie w całości przytoczonym tekstem Lamennais'go, pokazano na przykładzie głośnego podówczas „Katechizmu politycznego“, jak daleko zapędza się despotyzm w nadużywaniu Kościoła, dochodząc w zwyrodnieniu swym wprost do deifikacji władcy.

Orientując się z grubsza w układzie treści artykułu, możemy wrócić do porzuconej chwilowo kwestii jego autorstwa. Bez trudu możnaby wskazać, że zasadnicze jego założenia ideowe i wiązania myślowe stoją w zgodnej harmonii z poglądami i przeświadczeniami owoczesnymi Mickiewicza.

Mickiewiczowska jest w artykule wiara w entuzjazm, w egzaltację polityczną, jako najsilniejszy dziś czynnik dziejotwórczy, wiara w solidaryzm ludów, dążących do wolności. Poglądy podobne rozsiał poeta po „Księgach“, po artykule w „Pielgrzymie Polskim“. Podobnież zużytkowanie sądu Lamennais'go o „Katechizmie ku czci cara“ nie byłoby przypadkowe pod piórem Mickiewicza, który pierwszy napiętnował był w prasie emigracyjnej tę bluźnierczą publikację rosyjską, a z sympatiami dla Lamennais'go nie krył się zgoła.

Jeszcze większej wagi byłby wzgląd na to, że zarówno zasada, schemat historiozoficznego ujęcia, jak nawet pomniejsze, szczegółowe poglądy na rolę dziejową obu Kościołów, wyrażone w tym artykule, powrócą za kilka lat — w Prelekcjach paryskich. W szczególności między wykładem 12 kursu I a środkową częścią artykułu w „Le Polonais“ można by przeprowadzić paralelę wcale daleko

idącą. Tak np. szczegół (powtórzony zresztą za Karamzinem) o wahaniu się Włodzimierza W., którą religię ma wybrać, powtarza się tu i tam w podobnym ujęciu. W podobnyż sposób uwydatniono w obu dziełach jako znaczący i doniosły w konsekwencjach fakt, że rząd rosyjski zabronił po cerkwiach kazań; albo fakt, że Kościół wschodni poza bazylianami nie ma innego zakonu. Podobnież w obu wystąpieniach przeprowadzono tę samą tezę naczelną, mówiącą o biegunowej różnicy dwu kultur dzielących Europę, opartych o dwa Kościoły: rzymski i bizantyjski; z tezy tej wyciągnięto tenże wniosek o duchowym przeciwieństwie Polski i Rosji. Wreszcie sam akord końcowy artykułu: związanie nadziei polskich z ideą napoleońską, z wiarą w odnowiony czyn zbrojny Legionów, również dałby się łatwo powiązać z przeświadczeniami Mickiewicza, wyrażanymi silnie zwłaszcza w latach nieco późniejszych, ale — jeśli się zgodzić na chronologię drugiej redakcji „Historii przyszłości" — żywionymi także współcześnie, właśnie w r. 1835. Widzimy zatem, że i z treści artykułu dadzą się wydobyć przesłanki, świadczące za autorstwem Mickiewicza niemniej wyraźnie jak tamte, wydobyte z okoliczności zewnętrznych i ze świadectw źródłowych. Tak więc wydaje się, że sprawę tego autorstwa uważaćby można za niemal że całkowicie zdecydowaną w sensie pozytywnym. Artykuł o Cerkwi wydaje się według tego artykułem A. Mickiewicza.



Sed contra: Temu szeregowi dowodów za autorstwem cóżby można przeciwstawić? Że artykuł jest niepodpisany? To niewiele znaczy. Zwyczaj ten był przyjęty w „Le Polonais" przez znaczną większość współpracowników polskich; sam Czartoryski drukował tam dłuższą rozprawę „O przyszłości Rosji i Europy" — niepodpisaną.

W naszym wypadku już autor hipotezy o autorstwie Mickiewiczowym wysunął przeciw niej dwa zastrzeżenia — jakże atoli błahe! „Przeciw autorstwu poety — pisze on — przemawia styl i niektóre wyrażenia (jak np. „papisme"), nie używane w prozie francuskiej Mickiewicza" (str. 9). Przecież kryteria stylistyczne w artykule, pisanym w pierwszych latach porania się autora z publicystyką francuską, trudnoż być mogą brane w rachubę. Co zaś do zakwestionowanego słowa, to owszem użył go Mickiewicz i to nawet współcześnie, w „Pierwszych wiekach historii polskiej"[1].

Większej wagi jest wzgląd napotkany przy analizie treści; prawdę mówiąc, będzie to pierwszy wzgląd poważny. Nastręcza go rzucona w artykule mimochodem uwaga o współczesnej polityce Watykanu, zwłaszcza o bulli z r. 1832 do biskupów polskich. W przeciwieństwie do ogółu emigracji, zwłaszcza do żywiołów demokratycznych, które nie taiły słów boleści i rozgoryczenia z powodu tego wystąpienia papieża, Mickiewicz zachował się w tej sprawie raczej powściągliwie, nie występował publicznie, ani — ile wiadomo — prywatnie, z wyrazami oburzenia czy potępienia. Owszem, zaraz w r. 1832 na jednym z zebrań publicznych (właśnie Towarzystwa Literackiego, które wydawało „Le Polonais"), gdy o tym była mowa, starał się — częściowo przynajmniej — przesunąć odpowiedzialność za ten akt na posła rosyjskiego w Rzymie, Gagaryna[2]; podobnież jeszcze w r. 1842 powściągał innych, atakujących papieża za ową bullę[3]. Tymczasem w artykule o Cerkwi pomieszczono na ten temat uwagę ostrą, zarówno w tekście.

[1] Zob. Dzieła wszystkie, VI 407, w. 14.
[2] Zob. Dzieła wszystkie, XVI 464.
[3] Tamże str. 162.

gdzie jest mowa o „fałszywym kierunku" nadanym dzisiejszemu papiestwu, jak znacznie bezwzględniej w przypisku, mówiącym złośliwie o wierze papieskiej w nieomylność Mikołaja.

Tak, ten wzgląd rzeczywiście może obudzić w czytelniku czujność.

Bez większego znaczenia, na oko przynajmniej mogłaby się wydać poszlaka inna. Jak się już napomknęło, administracja czasopisma wydała nakład odbitki artykułu Grzymale. Grzymałów było na emigracji dwóch. Jeden, Franciszek dawny redaktor „Astrei", bywał częstym gościem Mickiewicza, gościem bliskim, choć czasem żartobliwie traktowanym. Jeżeli to on odebrał nakład odbitki, to taka przysługa wyświadczona poecie byłaby zupełnie dopuszczalna. Ale był w Paryżu inny jeszcze Grzymała, Wojciech. Dawny dyrektor banku, w r. 1831 poseł rządu powstańczego w Londynie, na emigracji trzymał się blisko hotelu Lambert, należał do założycieli i czynnych członków Towarzystwa Literackiego, co więcej do czynnych współpracowników „Le Polonais". W szczególności, jak już wiemy, on to jest autorem dużej rozprawy o Piotrze Wielkim [1] w styczniowym zeszycie miesięcznika z r. 1835. Otóż między rozprawą tą a najbliższym jej czasowo artykułem o Cerkwi zachodzi drobny wypadek pokrewieństwa. W obydwóch posługiwano się tym samym źródłem informacyjnym, tu i tam zaczerpnięto pewne szczegóły z dzieła Dupré de St. Maure „Petersburg, Moscou et les provinces" (Paryż 1830, t. I—III). Oczywiście i to niczego jeszcze nie musi dowodzić, niemniej obudzona czujność winna ten fakt zanotować. W każdym razie należy poszukać bliższych informacji o działalności pisarskiej W. Grzymały. U Estreichera o niej skąpo, ale znajdą się wskazówki inne: Wszedłszy zaś na tę ścieżkę — jesteśmy już bliscy celu.

W nekrologu W. Grzymały, zamieszczonym w „Roczniku Tow. Hist.-Liter." za l. 1870—72 [2], wymienia autor (Br. Zaleski?) kilka tytułów; m. i. podaje, że na posiedzeniach Towarzystwa Literackiego czytał on także rozprawkę „O działaniu politycznym Kościoła rosyjskiego". Otóż i dowód w naszej sprawie.

Można by go, co prawda, zakwestionować. Z zachowanych w rękopisie protokołów z posiedzeń Towarzystwa [3] okazuje się, że przed lutym 1835 r. Grzymała takiej rozprawy faktycznie jednak nie czytał. Zapowiedziano wprawdzie jakiś jego odczyt (najprawdopodobniej o Piotrze Wielkim) na 26 czerwca, potem na 4 września, wreszcie na 2 października, ale ani na tych, ani na następnych posiedzeniach 1834 r. do wygłoszenia go nie doszło. Niemniej informacja nekrologisty znajduje potwierdzenie.

Najpierw w druku. W ogłoszonym 1843 r. „Zdaniu sprawy z dziesięcioletnich prac Towarzystwa Liter. Pol. w Paryżu" podano na końcu wykaz prac, przedstawionych Towarzystwu przez członków. Prac W. Grzymały jest ośiem, jako piąta figuruje: „O działaniu politycznym Kościoła rosyjskiego" [4]. A w tekście rękopiśmiennym tej właśnie publikacji artykuł ów zanotowany jest pod r. 1834—35. Wreszcie w sposób ostatecznie rozstrzygający podano tę sprawę w rękopiśmiennym „Trzecioletnim sprawozdaniu z prac Towarzystwa Liter. Pol." z r. 1835. Tam w spisie prac członków czytamy pod nazwiskiem W. Grzymały: „1. O instytucjach dawnej Polski — umieszczony w Polonais. 2. Prawda o Piotrze Wielkim — umieszczony w Polonais. 3. O działaniu politycznym Kościoła rosyjskiego,

---

[1] „La vérité sur Pierre le Grand et la Russie moderne, son ouvrage".
[2] Poznań 1872, str. 608.
[3] Te i następne informacje z archiwum Towarzystwa zawdzięczam uprzejmości p. Czesława Chowańca, dyrektora Biblioteki Polskiej w Paryżu.
[4] Paryż 1843, str. 47.

— umieszczony w Polonais...“ [1] A informacja, dodajmy, zapisana tam została ręką Wł. Platera, redaktora „Le Polonais“. Toteż świadectwo to rozstrzyga sprawę bez reszty.

Bieg rzeczy zatem w redakcji „Le Polonais“ musiał być taki: Plater rozumiejąc wagę kwestii, aktualnej wobec pociągnięć publicystyki wrogiej Polsce, zabiegał o artykuł u Mickiewicza. Czekał nań całe cztery miesiące. Nie mogąc się doczekać, dał spokój naleganiom i zwrócił się z propozycją do jednego z czynnych współpracowników pisma, zajmującego się kwestiami rosyjskimi, właśnie do W. Grzymały. Tym razem skutecznie. Artykuł w lutowym zeszycie pisma jest jego utworem.

Jeżeli więc istotnie trafnie dosłuchaliśmy się w nim pewnych ech ideologii mickiewiczowskiej, to sprawę tę należy wyjaśnić na innej drodze. Nie może ona być podstawą dostateczną do hipotezy o autorstwie, czy choćby współautorstwie Mickiewicza. Artykuł „De l'action politique de l'Eglise russe“ wyszedł nie spod jego pióra.

Kraków. *Stanisław Pigoń.*

PSYCHOLOGIA TWÓRCZOŚCI ŻEROMSKIEGO

(O książce prof. Stefana Baleya)

Tyle się czytało i słyszało o patologicznych i o psychopatologicznych elementach w dziele Żeromskiego (wyrazu dzieło używam tutaj w znaczeniu całokształtu jego twórczości literackiej), że ze zrozumiałą ciekawością otwiera się studium [2] psychologa-fachowca, by od niego dowiedzieć się, na czym owe elementy na prawdę polegają. Studium, napisane niesłychanie żywo i zajmująco, interesuje tym bardziej, że prof. Baley zajmuje się w nim tylko dziełem wielkiego powieściopisarza, że nie zbacza w dziedzinę zagadnień biograficznych, że operuje materiałem jednolitym, powszechnie dostępnym i łatwo sprawdzalnym, bo tekstami pism Żeromskiego, że zatem stoi na stanowisku „ściśle literackim“.

Na podstawie mianowicie analizy stylu Żeromskiego wykazuje on perseweracyjność pisarza, tj. częste, natrętne powtarzanie się w jego dziele pewnych pojedynczych wyrazów, pewnych zwrotów, zdań a nawet całych okresów; podobnie stoi sprawa powtarzających się stale pewnych „motywów“ (wilga, róża, pokropienie hyzopem, turoń, skrytka etc. etc.), motywów, które niejednokrotnie występują w tytułach nowel, powieści czy dramatów. To samo wreszcie zjawisko zaobserwować można w zakresie pewnych sytuacyj i pewnych charakterów ludzkich, nieraz odległych chronologicznie a mimo to będących „sobowtórami“ (Helena i Elżbieta w „Popiołach“, Rozłucki i Tatiana w „Urodzie życia“ oraz Nienaski i Xenia w „Walce z szatanem“).

Tendencje perseweracyjne w dziele Żeromskiego zazębiają się zwykle z innymi, przede wszystkim z synestezyjnością, polegającą na „przyporządkowaniu wzajemnym elementów psychicznych, należących do sfer odrębnych i niepowiązanych z sobą jednoznacznymi logicznymi węzłami“ (barwne słyszenie,

---

[1] Rkpis w Bibl. Pol. w Paryżu; sprawozdania str. 9 (109 całego tomu).

[2] Baley Stefan: Osobowość twórcza Żeromskiego (Studium z zakresu psychologii twórczości) Warszawa, „Nasza Księgarnia“, 1936, s. 228.

kojarzenie wyobrażeń słuchowych ze smakowymi lub węchowymi itp.). Owe zdolności synestezyjne, których Żeromski „jest przykładem poniekąd klasycznym" sprawiają, że w dziele jego łączą się stale człony kontrastowe, zarówno w zakresie wrażeniowym jak pojęciowym (stała kolejność barw czerwonej i zielonej, symbolizujących nieraz antagonizm pojęć lub uczuć), przy czym na tle takiej struktury psychicznej pisarza zrozumiałe się stają próby przezwyciężenia owych kontrastów („Dzieje grzechu" jako próba rozwiązania antynomii grzechu i świętości).

Stosunki te potwierdza dalej subtelna analiza zjawisk emocjonalnych w dziele Żeromskiego, od najprostszych do najbardziej skomplikowanych; cechę ich znamienną stanowi to, że „kontrastowe tendencje dochodzą do głosu równocześnie, względnie pod formą szybkiej oscylacji", skąd w strukturze jego utworów rodzi się „duża dysproporcja pomiędzy przyczyną a skutkiem", dochodząca do tego, że czytelnik niekiedy „właściwie nawet dobrze nie widzi przyczyny, a ogląda tylko straszliwy jej skutek" (np. w „Doktorze Piotrze").

Spory wreszcie rozdział końcowy, nie dla każdego przekonywający, wypełnia próba zastosowania do dzieła Żeromskiego psychoanalizy, mającej wykazać „nieświadomą logikę" tam, gdzie sceptyczny czytelnik dopatrywałby się tylko przypadku. Baley, podkreślając, że „Żeromski należy do tych twórców, których psychoanaliza mogłaby wymienić jako przykłady łatwej stosowalności jej teorii", zachowuje tutaj chwalebną wstrzemięźliwość, dzięki czemu jego ujęcie problemu, nie wpadając niemal nigdzie w typowe dla psychoanalityków niedopuszczalne symplifikowanie badanych zjawisk, budzi żywe zainteresowanie nawet u przeciwnika psychoanalizy.

Streszczenie to, z konieczności bardzo ogólnikowe i schematyczne, nie oddaje całego bogactwa problemów, precyzyjnie w rozprawie postawionych i zbadanych, tak że — poza kilku wyjątkami — przyjąć rozwiązania autorskie trzeba jako bezsporne. Nasuwa się więc pytanie: co nowego wnoszą one do dzisiejszej wiedzy o Żeromskim? Pytanie to ma swoje podwójne uzasadnienie. Jeden z wybitnych znawców dzieła Żeromskiego powiedział — w rozmowie ze mną — że Baley zjawiska dobrze znane i niejednokrotnie opisywane „przygwoździł terminami" psychologii dzisiejszej. Gdyby zrobił tylko tyle, czy miałoby to jakieś znaczenie? Przecież słyszy się dzisiaj głosy, podające w wątpliwość przydatność psychologii w badaniach literackich. Prof. Kridl („Wstęp do badań nad dziełem literackim" 199—201) sprawie tej poświęca np. cały dłuższy ekskurs, co prawda dziwnie niejasny i niewolny od sprzeczności logicznych, dowodząc najpierw, że od psychologii „wiele się spodziewać nie możemy", bo te jej działy, które zastosować by można do dzieła literackiego „nie dotyczą bezpośrednio dziedziny naszych badań", co jednak nie przeszkadza mu zakończyć rozważania nieoczekiwanym wnioskiem, że „to wszystko nie uwalnia nas oczywiście od studiowania psychologii i śledzenia jej postępów". Niekonsekwencja tego wniosku wystąpi tym silniej, gdy się zestawi pogląd Kridla, że psychologia, jako nauka, która „zawsze ma do czynienia z żywym konkretnym człowiekiem", nie da się zastosować przy postaciach literackich, są one bowiem fikcyjne, oraz uzasadnienie potrzeby studiowania psychologii, bo „inaczej zmienilibyśmy się w prymitywów, nieorientujących się także i w subtelniejszej i bardziej skomplikowanej niż u ludzi żywych psychice postaci literackich". Jak dalece całe to rozumowanie jest nietylko formalnie fałszywe, dowodzi właśnie książka Baley'a.

Rzecz w tym, że zjawiska, obserwowane w dziele Żeromskiego, interpretowano najrozmaiciej, już to na gruncie psychologicznym, jako odbicie indywidualności pisarza jako człowieka, przy czym człowiekowi temu nie szczędzono najrozmaitszych oskarżeń, już to na gruncie estetycznym, rozpatrując je jako środki ekspresji artystycznej. Fakty, ustalone przez Baley'a, pozwalają stwierdzić w dziele Żeromskiego całe szeregi identycznych zjawisk, zarówno stylowych jak tematycznych, zjawisk bardzo różnych lecz zupełnie konsekwentnie związanych z sobą, bo wyrastających ze wspólnego podłoża osobowości twórczej pisarza; dzięki temu można bez większej trudności wyróżnić to, co było w tym dziele samorzutne, nieuniknione, bezwiedne, od tego co było rezultatem świadomego zamiaru artystycznego; dzięki temu dalej wewnętrzna jednolitość tego dzieła, choćby na systemie stałych dysonansów oparta, daje się uchwycić całkiem wyraźnie, ująć nie jako impresja krytyczna, lecz jako opis obiektywny, sprawdzalny. Oczywiście jest to grubo więcej aniżeli przygwożdżenie terminologiczne, same bowiem terminy stają się w tym wypadku tylko dokumentami rezultatów osiągniętych przez badanie. To raz.

Ustalenie zaś w ten sposób podstawowych zjawisk, decydujących o artystycznej fizjognomii dzieła Żeromskiego, pociąga za sobą bardzo interesujące konsekwencje natury ogólniejszej, powiedzmy historyczno-literackiej. Żeromski nie tworzył w próżni społecznej, dzieło jego nie spoczywało nigdy pod kloszem, lecz działało na dwie co najmniej generacje czytelników i to niejednokrotnie czytelników twórczych, na pisarzy. Wyobrazić sobie łatwo, że pisarze, Żeromskiemu pokrewni, to znaczy reprezentujący ten sam typ psychiczny, przejmowali od autora „Popiołów" pewne jego cechy, przy czym cechy te, zaszczepione na odpowiednim gruncie, mogły przyjąć się tak doskonale, że możemy je uważać za zjawisko zupełnie normalne, nie wyróżniające się, znamienne dla „szkoły" Żeromskiego. Cóż jednak stać się musiało, gdy pod wpływ Żeromskiego podpadali pisarze innego typu, o odmiennej strukturze psychicznej? Przejęte od niego cechy, rzucone na grunt całkowicie inny, stać się musiały czymś mechanicznie tylko z gruntem tym związanym, czymś całkowicie mu obcym. Dość przeczytać pewne rozdziały „Roku 1794" Reymonta, by zobaczyć, jak to wyglądało w rzeczywistości. A wypadek to bynajmniej nie izolowany; to samo bowiem zjawisko znamy doskonale z dzieł od Żeromskiego zarówno starszych (mistycyzm w „Przedświcie") jak młodszych (fantastyka w „Wędrówce Joanny"). Jak znaleźć kryterium, które pozwoli nam ocenić, bez uciekania się do impresjonizmu, co stanowi składnik dzieła naturalny a co mechaniczny?

Wydaje mi się, że odpowiedź na to daje książka Baley'a. Dopiero ujęcie tych spraw z punktu widzenia precyzyjnej analizy psychologicznej, zwłaszcza, jak w omawianym wypadku, ograniczonej do materiałów, zawartych w samym dziele literackim, pozwala na obiektywną ocenę wszelkiego rodzaju hybryd, tworów, w każdym okresie życia literackiego pospolitych, złożonych z pierwiastków heterogenicznych, a powstanie swe zawdzięczających temu, iż wyrosły one ze skrzyżowania organicznych cech pisarza z wymaganiami tradycji literackiej czy konwenansu literackiego, stworzonego przez tych czy owych pisarzy, których świat wewnętrzny, nieraz bardzo skomplikowany i pozornie niejednolity, nakazuje badaczowi posługiwanie się odpowiednimi narzędziami poznawczymi, bez względu na to, czy ciasno pojmowane kodeksy metodologiczne zechcą narzędziom tym nalepić etykietę ortodoksyjności literackiej.

Warszawa. *Julian Krzyżanowski.*

CENZURA POETY

Nieznana karta pracy pisarskiej Stefana Żeromskiego

Stefan Żeromski narzekał raz w liście do narzeczonej, tej zaufanej powiernicy jego kłopotów twórczych, że odczuwa niezwykły brak „korektora, doradcy, poprawiacza błędów, krytyka!..."[1]. Było to niezupełnie zgodne z normalnym usposobieniem poety. Jeśli bowiem Żeromski w życiu prywatnym był z natury nieśmiały i nietowarzyski, znacznie wstydliwiej zamykał się w sobie na podwórku własnej pracy twórczej. Czujnie stał zawsze na straży intymności własnego skryptu, bezwzględnej poufności tajemnic warsztatu i pisarskiego swego rzemiosła[2]. Nie dość więc, że samotnie dźwigał mozoł pracy nad stylem, samotności swej nadto strzegł bardzo troskliwie. Trafiały się jednak chwile, kiedy to upragnione odosobnienie zaczynało mu ciążyć: przytoczona powyżej skarga młodocianego poety świadczy o tym dobitnie. Źródłem jej bowiem było przygnębiające poczucie własnej nieporadności pisarskiej, szczególnie najwidoczniej dotkliwe, gdyby jego natężenie mierzyć natężeniem skargi.

Znamienne jej ślady łatwoby odszukać przyszło w ekspresji słownej tego okresu jego twórczości. Znajomość usterek tamtoczesnego pisarstwa Żeromskiego nie byłaby i nie będzie zapewne obojętna dla badacza jego puścizny. Znacznie bardziej jednak zainteresować może zagadnienie cenzury poety, umieszczone w tytule uwag niniejszych. Mianem tym określam nieznany dotychczas fragment pracy pisarskiej Żeromskiego. Są to tzw. poprawki autorskie, które ujawnia analiza jego tekstów. Powstawały one zazwyczaj na marginesie któregoś z późniejszych przedruków jego dzieł. Uwidocznieniem tej korekty autorskiej poety bywa najczęściej (ale nie zawsze!) stereotypowa formuła, umieszczona na karcie tytułowej dotyczącej edycji: „wydanie..... przejrzane i poprawione przez autora". Żaden z krytyków nie zwrócił dotychczas uwagi na te sygnatury pieczy autorskiej Żeromskiego. A przecież znamionują one pewną sumę jego pracy pisarskiej, podjętą z namysłem, pod kątem świadomych jego intencyj artystycznych. Znaczenia ich zgoła nie umniejsza fakt, że chodzi tu raczej o szczegóły i drobiazgi rzemiosła literackiego poety. Umiemy już je cenić, bo wszak troska o drobiazgi to nieodzowny współczynnik każdej twórczej pracy pisarskiej, z natury rzeczy mozolnej i sumiennej. Warto więc sprawy te ujawniać z grubsza i pokrótce rozważyć.

Zajrzyjmy w tym celu na chwilę do „Syzyfowych prac". Ta pierwsza obszerniejsza konstrukcja powieściowa Żeromskiego (Lwów, 1898, Nakładem Towarzystwa Wydawniczego we Lwowie, str. 375 + 1 nlb) jest trzecią z kolei jego publikacją książkową, genetycznie zresztą jedną z najwcześniejszych. Biograf poety informuje o długim procesie polerowania rękopisu tej powieści. Najwidoczniej jednak zawiódł samokrytycyzm twórcy, skoro wspomniane wyżej ślady jego nieporadności pisarskiej ostały się jeszcze w redakcji ostatecznej utworu. Ostały się zaś dość długo, bo dwadzieścia z górą lat, na kartach czterech kolejnych wydań powieści. Usunął je dopiero wtedy, gdy jako dojrzały już artysta i pisarz najwyższej klasy czuł się Żeromski uprawniony do surowej oceny właściwości językowo-stylowych pisarzy sobie współczesnych. Potępiający ten osąd

---

[1] Stanisław Piołun-Noyszewski, Stefan Żeromski. Dom, dzieciństwo, młodość, Warszawa, 1928, str. 223.

[2] Ciekawe spostrzeżenia na temat wielkiej skrytości i dzikości zamkniętej natury poety przynoszą Zygmunta Wasilewskiego: Wspomnienia o Janie Kasprowiczu i Stefanie Żeromskim, Warszawa, 1927, str. 128—130.

opublikował na kartach „Projektu Akademii Literatury Polskiej“: „Jedni z naszych żyjących pisarzy władają językiem polskim, pod względem budowy zdań i szyku wyrazów, w sposób wzorowy, pracują usilnie nad mową twórczą, — inni oddają swe myśli w sposób niedbały, zachwaszczony obcymi zwrotami, a nieraz wyrażają się w piśmie po polsku, lecz według składni niemieckiej lub rosyjskiej...“ Tak więc ten zrewidowany tekst dzieła przynosi dopiero wydanie piąte „Syzyfowych prac“ (Warszawa, 1919, Towarzystwo Wydawniczej str. 240 + 4 nlb), stanowiące ciekawy dokument rzetelności pisarskie, Żeromskiego.

Ciężar gatunkowy poprawek Żeromskiego, wprowadzonych do tego wydania, jest dość różnorodny, na ogół jednak mieści się pośród niskiej stosunkowo skali. Będę mógł ukazać tylko niektóre z nich, te zaś uszereguję wedle charakterystycznych ich właściwości. Na czoło wysunę przykład bardzo aktualnej korekty składni zdania, w wersji pierwszej rażąco wadliwej:

Wydanie pierwsze:	Wydanie piąte:
Nauczyciel złożył ukłon, a kiedy pani Borowiczowa powiedziała mu swe nazwisko, wyciągając pięknym ruchem obadwa mankiety, przyozdobione wielkiemi spinkami, zapytał po rosyjsku... (str. 87).	Nauczyciel złożył ukłon, wyciągając pięknym ruchem obadwa mankiety, a gdy pani Borowiczowa powiedziała mu swe nazwisko, zapytał po rosyjsku ... (str. 54).

Inny jeszcze lapsus pisarski pierwszej wersji drukowanej nie uszedł uwagi poety. Pani Wiechowska zwraca się do Marcinka i Józi z następującą apostrofą: „Przywitajcie się moje dzieci, — rzekła z emocją. — Będziecie się razem uczyli, powinniście więc żyć w zgodzie...“ (I wyd. str. 12). Drastyczną tę niezgodność gramatyczną zastępuje poeta poprawną już formą osobową czasownika („będziecie się razem uczyły, powinnyście więc...“, V. str.8). Gdzieindziej znów zamiast niewłaściwej postaci użytego zaimka osobowego: nom (I. str. 51) wprowadza właściwy już kształt tego staropolskiego celownika liczby podwójnej: noma („Pani nauczycielowa pokazała noma z Kaśką durkowane“, V. str, 32), zachowanego, dziś wyłącznie w gwarach ludowych, przytoczonego też w gwarowej jego transkrypcji wymawianiowej. Szkoda, że oczywistej tej deformacji nie zakwestionował doskonały komentator powieści, Stanisław Adamczewski („Wielka Biblioteka“, nr 142, Warszawa, 1930, str. 10). W błąd wprowadziła go nieznajomość edycji autoryzowanej.

Wspomnę jeszcze o stałej nieprawidłowości szyku używanego zwłaszcza w dopełniaczu zaimka: który, w zdaniach względnych wersji pierwszej stawianego zwykle na dalszych miejscach. W edycji z roku 1919 uległo to wszędzie zapobiegliwej cenzurze poety. Przykład: „i zobaczył górę, u której stóp stały Gawronki...“, V. str. 24, zamiast „u stóp której“, I. str. 38 — itp.

Z doby pierwszego wydania datuje się również przelotna niekonsekwencja poety w zakresie syntaktycznego użycia form przypadkowych. Podówczas bowiem używał Żeromski niektórych orzeczników w narzędniku l. poj., a nie jak później, w wyróżnianym przezeń zazwyczaj (choć nie systematycznie!) mianowniku tejże liczby. Cenzura poety formy te skrzętnie później koryguje. I tu służę przykładem jednym z wielu: „Nauczyciel zmuszony był...“, V. str.19, zamiast „zmuszonym był...“. I. str. 30 — itp.

Poza powyższymi istnieje jeszcze druga, liczniejsza grupa poprawek Żeromskiego, wnosząca wyższy nieco ład w organizację tworzywa językowego

utworu. Najważniejsze z nich mają na celu troskliwe eliminowanie zbieżności słownych powieści. I trzeba przyznać, że to się im na ogół bardzo udaje. Zabieg powyższy zastosował Żeromski już w „Promieniu", najbliższym chronologicznie utworze po „Syzyfowych pracach", publikowanym jednak wcześniej. Nic dziwnego więc, że tym właśnie tendencjom daje teraz wyraz przy korekcie autorskiej dzieła. Jak to wygląda w praktyce, poznamy na przykładach pierwszych z brzegu:

Wydanie pierwsze:	Wydanie piąte:
Chytrze obmyślał stosowny moment o wczesnym poranku, przypominał sobie drogę do Gawronek, wmyślał się w fizjognomie zakątków leśnych... (str. 19).	Chytrze obierał stosowny moment o wczesnym poranku, przypominał sobie drogę do Gawronek, wmyślał się w fizjognomie zakątków leśnych... (str. 12).
Nauczyciel zmuszonym był przekrzyczeć chłopską melodię, pociągnąć za swoją cały ogół dzieci i wkrzyczeć ją w ich pamięć (str. 30).	Nauczyciel zmuszony był zwyciężyć chłopską melodię, pociągnąć za swoją cały ogół dzieci i wkrzyczeć ją w ich pamięć (str. 19).

I tak więc po kolei rozprawiał się poeta z usterkami, skazami i nierównościami młodzieńczego swego pisarstwa, tropił je, wyłapywał, usuwał... Może zżymał się przytem i gorzkie myśli przetrawiał o ułomnościach i pułapkach kunsztu i pisarskiego swego rzemiosła? Nie mam danych, aby to stwierdzić ponad wszelką wątpliwość. Zdaje mi się jednak, że za tym właśnie kierunkiem przemyśleń Żeromskiego przemawia charakterystyczne jego wyznanie, które mniej więcej równocześnie z podjęciem rewizji tekstu „Syzyfowych prac" pojawiło się na kartach „Projektu Akademii Literatury Polskiej": „Podający te uwagi wie dobrze, iż w jego pisaninach i w tym oto artykule niejedno znalazłoby się do poprawienia. Ale o to właśnie idzie, o nieustanne poprawianie..." Nieprzypadkowa to zapewne wypowiedź, ani przewidujące asekurowanie się przed możliwymi zarzutami, raczej nowa formuła pisarskiej jego praktyki, z tych bodaj lat się wywodząca. Przybywa tedy nowy element pisarstwa Żeromskiego, interesujący wskaźnik dokonanych w nim przeobrażeń.

O jakie przeobrażenia tu chodzi? Działo się to przecie w końcowej fazie twórczości Żeromskiego, którą Adamczewski nazwał „ujarzmianiem żywiołu". Źródłem przemiany była dezaprobata krańcowych przejawów poprzedniego stylu poety, jako czynniki zaś kształtujące nowy jego wysiłek twórczy, ujawniły się: zahamowanie rozlewności lirycznej, powściąg i umiar wyrazu. Streszczałaby się w tym cała niemal treść zjawiska. Czy to jednak już wszystko? Monograf „Serca nienasyconego" poety poświęcił tej sprawie rozdział obszerny i znamienity. Nie podejmując jednakże drobiazgowych badań nad tekstem Żeromskiego, nie dostrzegł, że instrumentem tego zwrotu poety ku prostocie stylu była również jego korekta autorska.

Jaki był zasięg tej korekty? Trudnoby mi było ustalić to dokładnie. Na odcinku jednakże przezwyciężonej tej fazy twórczości Żeromskiego dostrzec go można było dość łatwo. Na ślad naprowadza sama już nota tytułowa wydania piątego „Dumy o hetmanie": „...przejrzane i poprawione przez autora" (Warszawa, 1923, str. 148). Wskazówce tej śmiało można zawierzyć, przynosi ono bowiem istotnie sporą przygarść interesujących poprawek autorskich poety. Najciekawsze z nich znamionują odwrót poety od niewątpliwych przejaskrawień sztucznego toku wysłowienia poematu, przywrócenie zaś naturalnej prostoty jego szyku o nie mniej sugestywnej rytmice. Unaocznią to dwa przykłady:

Wydanie trzecie:

...i na wielkiej moskiewskiej drodze, gdyśmy w dziesięć tysięcy szli na kraj świata po Monomacha czapkę szafirową dla królewskiego polskiej skroni dziecięcia... (str. 23).

Pali ogień pragnienia. Zagląda w oczy głód... (str. 61).

Wydanie piąte:

...i na wielkiej moskiewskiej drodze, gdyśmy w dziesięć tysięcy szli na kraj świata po Monomacha czapkę szafirową dla polskiej skroni królewskiego dziecięcia... (str. 18).

Pali ogień pragnienia. Głód do oczu zagląda... (str. 44).

W taki sposób nowe wartości pisarskie Żeromskiego przenikały na z dawna opuszczone pozycje jego pracy twórczej. Napróżnoby jednak szukać przytoczonych tu wielu innych jeszcze korektur poety w ostatniej edycji poematu (z roku 1929). Wydawcy bowiem tekst tego wydania oparli na wersji znacznie wcześniejszej, i dlatego to skrupulatny wysiłek korektorski Żeromskiego pozostał poza marginesem tej edycji. Czyż nie oczywisty to dowód bezplanowości ich pracy edytorskiej? A przecie cenzura poety jest manifestacją zawodowej jego sumienności i skrupulatności w szczegółach, ciekawym przeto elementem jego pisarstwa. Nie może nad nim przechodzić do porządku ani wydawca, ani historyk trudu artystycznego wiekiego twórcy „Popiołów".

Grybów. *Wiktor Doda.*

EROTYKA A SPOŁECZNICTWO W „LUDZIACH BEZDOMNYCH" ŻEROMSKIEGO

W „Wiadomościach Literackich" (nr 7 z rb.) ukazał się fascynujący artykuł p. M. J. Toporowskiego pt. „Prawdziwa miłość Judyma". Rzecz dziwna, nie wywołał głębszego oddźwięku w prasie literackiej, choć w całej pełni na to zasłużył.[1] Autor, idąc torami modnego dziś rewizjonizmu literackiego, podjął ciekawą próbę „odbrązowienia" postaci Judyma, która była na ogół bożyszczem wszelakiego społecznikowania w Polsce ostatnich dziesięcioleci. Sens obszernych wywodów p. Toporowskiego wygląda mniej więcej tak: Przedmiotem prawdziwej miłości Judyma jest wyłącznie Natalia Orszeńska, gdyż 1. ona, a nie Joasia, należy do galerii tych kobiet, które reprezentują ideał Żeromskiego, wyrastający z temperamentu pisarza i jego tradycyj klasowych, 2. Judym i Joasia to jedno: to Żeromski; wartością istotną, znajdującą się na zewnątrz, jest tylko Natalia i jej arystokratyczny świat, 3. tylko ten typ wrażeń i uczuć, jakich Judym doświadcza wobec Natalii, odpowiada zmysłowemu charakterowi doznań erotycznych innych bohaterów Żeromskiego (Rozłuckiego względem Tatiany, Rafała wobec Heleny, Nienaskiego w stosunku do Xeni itd.). Problem: służba społeczna z Joasią czy bez Joasi, — nie istniał naprawdę dla Judyma, bo ani cień podobnego konfliktu nie powstanie w duszy Nienaskiego. Miłość Judyma do Joasi jest genialnym mistyfikowaniem czytelnika, które udaje się tylko dzięki działaniu „narkozy lirycznej". Uczucie do Joasi stanowi wpierw sublimację zmysłowego pociągu do Natalii, a potem kompensatę doznanego niepowodzenia, nie mogącą jednak starczyć na długo. Judym jest

[1] Już po złożeniu artykułu Redakcji RL ukazała się w Tyg. Illustr. (nr 28) odpowiedź L. Pomirowskiego na wywody Toporowskiego.

społecznikiem wbrew woli. Naprawdę odnosi się do „motłochu" z odrazą i nienawiścią. Wartość, w imię której druzgocze szczęście Joasi, to tylko maska, która ma przesłonić istotną pobudkę jego czynu: klęskę uczucia w stosunku do Natalii i to wszystko, co się pod formą tego stosunku ukrywało: snobizm, wynikający z kompleksu niższości i niechęci do zrezygnowania z pełni wszelakich możliwości, nagromadzonych u szczytów życia w zastanym świecie. Roztoczony przez Joasię zbyt skromny obraz przyszłości, zapewniającej jednak skuteczną służbę społeczną, przekreśla ambitne marzenia doktora o władzy nad życiem i przyśpiesza rozpaczliwą decyzję rozstania. Konkluzja: zastrzeżenia co do społecznego instynktu (nie poglądów) Żeromskiego nie mogą się już odtąd rozbijać o wzniosły posąg Judyma, skoro jak nam p. Toporowski sugeruje, posąg ten został przez niego zdruzgotany.

Nie mam zamiaru wszczynać z autorem artykułu szczegółowej polemiki. Jestem po prostu bezsilny. W ramach obranych przez siebie swoistych chwytów metodycznych mógł łatwo udowodnić to, co chciał. Ograniczając się zatem do unaocznienia metody autora, nie idącej po linii nowszych prądów w nauce o literaturze, a mnie osobiście zupełnie nie przemawiającej do przekonania, pójdę o tyle tylko w jego ślady, że spróbuję dorzucić kilka uwag krytycznych o społecznikostwie Judyma oglądanym poprzez jego życie erotyczne.

Zastrzeżenia metodologiczne. 1. Przy pomocy terminów psychoanalizy można w ogóle zdumiewające rzeczy powiedzieć o dziele literackim, a zwłaszcza o przedstawionych w nim sprawach miłosnych. Podejmuję się w ten sposób wykazać, że Gustaw nie kochał wcale Maryli, a Jacek Soplica nie ubóstwiał Ewy Stolnikówny, natomiast miłość ich sprowadzę do różnych „sublimacyj" i „kompensat" uczucia niepełnowartości. Jeżeli o wynikach analizy dzieła literackiego mają decydować nie przebiegi psychiczne przez autora szczegółowo o jego bohaterze podawane, lub też przez tegoż bohatera czy inne kreacje utworu relacjonowane, lecz to, co my imputować będziemy bohaterowi jako dziejące się w mrokach jego podświadomości, nie dostrzeganych często przez samego autora, to wtedy możemy dowolnie wynajdywać i interpretować różne „kompleksy psychiczne". Uznaję przydatność naukową konstrukcji psychoanalitycznej w odniesieniu do tych dzieł, w których twórca tak dalece spiętrza zagadki i niedopowiedzenia w duszy bohaterów, że fakty, dostarczone przez dzieło, nie dają żadnego klucza. „Ludzie bezdomni" pomimo liryzmu i mgławic nastrojowych nie są dziełem tego typu. Żeromski otwiera tak szerokie perspektywy na stany duchowe Judyma przez opisy od wewnątrz i oglądy od zewnątrz, że w tych granicach, w których przypisuje swemu bohaterowi „kompleks niższości", wskazuje nań bez niedopowiedzeń i mistyfikacyj, stawiając „kropkę nad i". 2. Określanie „składników duszy" pisarza w jego kreacjach wymyka się spod ścisłego ujęcia, gdyż zakres „przelewów" i „stopów" bywa bardzo różnolity. Dotyczy to nawet postaci, które są porte-parolami artysty. Jeśli badacz, stając przed jakimś zagadnieniem w dziele, rezygnuje z tego terenu i szuka wyjaśnień na drodze rodowodu kreacyj z psychiki twórcy, to z równania o jednej niewiadomej przechodzi do równania o kilku niewiadomych. P. Toporowski, uważając domniemany rodowód za Archimedesowy punkt oparcia, przechodzi do porządku nad sprawą autonomii kreacyj literackich, rozwiązuje tą drogą problemat Judyma, a potem na odwrót uzyskany w ten sposób wniosek traktuje jako przesłankę dla uogólnień o duszy twórcy. 3. Filiacje motywów i wątków oraz sposoby ich rozwiązywania mogą mieć wartość dowodową tylko w zakresie dzieł bardzo bliskich pod względem czasu

powstania. „Ludzie bezdomni" są jednym z wcześniejszych dzieł Żeromskiego. Sąsiadują najbliżej z „Syzyfowymi pracami". Analiza erotyki na podstawie przejawów w późniejszych utworach jest chwytem mocno ryzykownym. Tym bardziej, że rzekomy kontrast między „zmysłową" miłością do Natalii a „platonicznym uczuciem" dla Joasi nie da się utrzymać, jak o tym niżej. Żeromski był pisarzem o rozwijającej się wciąż wyobraźni erotycznej. Mało który artysta stworzył tak bogatą galerię par miłosnych, pokazał taką różnorodność doznań erotycznych. Obfity materiał w tej kwestii znaleźć można w rozdziale „Niebo i piekło uniesień miłosnych" wnikliwej monografii Adamczewskiego. Pary, przytoczone przez p. Toporowskiego, nie są jedyne, nie dają podstawy do uogólnień.

Z kolei przechodzę do rzeczy właściwej.

P a r y s k i e e m o c j e J u d y m a. Jak wyglądała przeszłość erotyczna Judyma przed poznaniem w Luwrze towarzystwa cisowskiego? Niewiele o tym dowiadujemy się z powieści, ale charakterystyczna jest wzmianka:

„...przyszły mu na myśl jego kobiety: krewne, znajome, kochanki... Każda mniej lub więcej podobna do mężczyzny z ruchów, z ordynarności, z instynktów. Myśl o tem była tak wstrętna, że przymknął oczy".

Z charakteru jego tęsknot miłosnych, o których czytamy w dalszych częściach powieści, możemy wnosić, że był to grunt pod tym względem dość świeży. Nie ulega zaś żadnej wątpliwości, że zupełnie świeży, jeśli idzie o przeżycia z kobietami z „towarzystwa". O fakcie zapoznania się z pannami cisowskimi w Luwrze znajduje się taka wzmianka:

„Było to w jego życiu zdarzenie kapitalne, coś w rodzaju otrzymania patentu albo fabrykacji pierwszej samoistnej recepty. Nigdy jeszcze nie zbliżał się do takich kobiet. Mijał je tylko nieraz na ulicy, widywał czasem w powozach i marzył o nich z nieugaszoną tęsknotą, w skrytości ducha, do której nie ma przystępu myśl kontrolująca".

A dalej:

„Te damy, które zobaczył dnia poprzedniego, stały się dlań tak szybko istotami bliskiemi, siostrzanemi przez wykwintność swych ciał, sukien, ruchów i mowy".

Czy w tych doznaniach upatrywać snobizm parweniusza? Raczej normalny pociąg wyobraźni do tego, co obce i dalekie. Po wtóre to, że niewiasty owej sfery wydają się Judymowi bardziej kobiece, mają dlań większy sex appeal. Wreszcie, gdy „nie ma przystępu myśl kontrolująca", gdy milknie jego świadomość klasowa, przemawia do jego wrażliwości estetycznej piękno tych kobiet jako wynik długowiekowej uprawy w nader korzystnych warunkach dziejowych:

„Każdy bystry ruch nogi wysmukłych panien był jak drgnienie muzyczne. Połyski ślicznych mantylek, rękawiczek, lekkich krez otaczających szyje, rozniecały w nim jakieś szczególne, nietyle namiętne, ile estetyczne wzruszenie".

Dla oceny erotyzmu Judyma ważny jest opis pierwszych wrażeń przy zetknięciu się z towarzystwem cisowskim w Luwrze. Jeśli kto wydaje się Judymowi pięknym, to tylko Joasia. Cały I rozdział powieści roi się od określeń, uwypuklających nie tylko uduchowienie p. Podborskiej, ale także jej fizyczną urodę. Te obserwacje, a nade wszystko pełne ekspresji słowa Joasi o Marii Antoninie każą naszemu bohaterowi „zapomnieć o sąsiedztwie panny Tali", choć niedawno

w jej towarzystwie zaznał niezwykłych emocyj. Judym nie dostrzega w Natalii żadnej urody („Nie można było określić, czy jest ładna, czy brzydka") ani szczególnej inteligencji. Natomiast od pierwszej chwili uderza go jakaś jej niesamowitość, budząca „nieuchwytne zatrwożenie". A gdy w czasie tłoku w tramwaju Natalia prowokacyjnie szuka fizycznego zbliżenia z „doktorkiem", by podrażnić jego zmysły, „zatapiają się w nim zimne kły rozkoszy" i opanowuje go rozmarzenie, choć nie wiadomo, czy dlatego, że partnerką jego jest właśnie osobnik Natalia Orszeńska, czy też dlatego, że pierwszy raz w życiu spotkała go taka przygoda z reprezentantką podziwianej przezeń sfery kobiet. Z tym wszystkim jednak spotkanie paryskie nie pozostawia głębszych śladów: żadna z poznanych kobiet nie wywołuje wspomnień ani tęsknot. Ogólny bilans znajomości najlepiej określa wyznanie p. Tomasza:

„Każda z tych bab tak jakoś żywo interesuje człowieka, każda, nawet ta stara [Niewadzka], to istota nowoczesna, wyobrazicielka tego, co tytułujemy kulturą."

Tak samo później, gdy w Warszawie zobaczy swe znajome siedzące w powozie oraz gdy wskutek propozycji Węglicha myśli o Cisach, sympatia jego ma charakter „zbiorowy", a nie indywidualny. Świadczy o tym zakończenie rozdziału „Praktyka".

„Słodkie zemdlenie zmysłów". Zmysłowa kokieteria Natalii w tramwaju paryskim padła na chłonny, spragniony doznań erotycznych grunt. W ciągu pierwszego okresu pobytu w Cisach „śnią się Judymowi na jawie niewysłowione pocałunki czyichś ust pachnących". Na plan pierwszy wysuwa się magiczny wpływ p. Orszeńskiej. Opis spotkania w kościele uwydatnia różnicę między „słodkiem zemdleniem zmysłów" na widok Natalii a „powitaniem dusz młodych i czystych" w zamianie spojrzeń z p. Joasią. Dalsze perypetie Judyma w stosunku do Natalii pamiętamy: krzyk bólu, gdy stwierdził oszalałą i dziką miłość wzajemną Natalii i „łobuziny" Karbowskiego, zazdrość względem szczęśliwego amanta, chwilowy wstrząs, kiedy dla Judyma „szpital nie istniał, jakby się w ziemię zapadł", potem obok zazdrości metafizyczna afirmacja typu Karbowskich, zawarta w porównaniu z kwiatem tuberozy. W jakiś czas potem druzgocząca dlań rozmowa z Natalią na reunionie. Jakie były skutki owej klęski, poniesionej w prawdziwej — zdaniem p. Toporowskiego — miłości Judyma? Rzecz zadziwiająca: Żeromski, ów arcymistrz w malowaniu udręki, zawodu, rozpaczy miłosnej, choćby przedtem w „Syzyfowych pracach", traktuje ostatecznie całą sprawę jako przemijający epizod w życiu doktora. Obcesowość Judyma wobec Natalii w czasie reunionu jest tylko jednym z przykładów odprężania się syna szewskiego, rozzuchwalenia wskutek awansów u dam, kuracjuszek z „towarzystwa". Całe zajście opisane jest właściwie jako przykład, jak Natalia umiała „sprowadzać na padół jednem spojrzeniem tych, co z chwilowego jej usposobienia wyciągali wnioski na swoją korzyść". Po afroncie, doznanym od Natalii występuje u Judyma na miejscu bolesna reakcja, natomiast później nie spotykamy ani śladu jakiejś prostracji duchowej, ani śladu wspomnienia. Ból chwilowy Judyma nie jest wcale dowodem miłości: ambicja męska może się czuć boleśnie dotkniętą nie tylko wtedy, gdy wchodzi w grę miłość w najpełniejszym tego słowa znaczeniu. Parę wierszy po opisie incydentu na reunionie czytamy:

„Było mu wszakże z tem wszystkiem bardzo dobrze na świecie. Żył bez przerwy i nie miał wcale wyobrażenia, co to jest refleksja, nuda, zniechęcenie".

A później:

„Serce Judyma zostało nietknięte, a przemijające „wrażenia" były dlań czemś w rodzaju deszczu, który rozkwasza ziemię i czyni ją niby to do niczego niezdolną, a właściwie udziela jej wtedy władzy stwarzania. — Przelotne smutki szybko uschły, dusza Judyma stężała..."

A jeszcze dalej:

„Czuł się tak dobrze, jak inny, gdy zbija majątek albo buduje sobie sławę. Im silniej pracował, tem więcej czuł w sobie mocy, jakiegoś rozmachu i owej pasji, która potężniała i wyrabiała się od trudu jak mięsień."

Jak określić zatem uczucie Judyma dla Natalii? Najlepszy byłby tu termin „podrażnienie erotyczne", oznaczający jakby zalążek uczucia miłości, który może się rozwinąć, może też zmarnieć, może być stanem chwilowym, nawet gdy w samym podmiocie istnieje złuda zakochania się „na śmierć i życie". Jakie wchodzą w grę bodźce? Najpierw porozumienie między zmysłami w Paryżu, które chłonność erotyczną Judyma „nastawia" w stronę sugerującej go Natalii. Natalia też jako najbardziej „hetmańska" najsilniej wyraża egzotyczne dla Judyma cechy kobiet swej warstwy i pod tym względem posiada najwięcej uwodzicielskiego czaru. Czytamy, że Judym „oddałby życie, gdyby te oczy (Natalii) jedną godzinę tak za nim tęskniły", ale dowiadujemy się też, że myślał tak tylko „przez chwilę". Zestawiając siebie z Karbowskim w czasie tańca z p. Orszeńską chciał ją bardziej zainteresować swoją osobą; nic nie wiemy o tym, czy myślał na serio o jakichś oświadczynach miłosnych. O tym zaś, żeby Judym skrycie nawet wysuwał myśl małżeństwa z Natalią, nie znajdujemy wzmianek w żadnym momencie akcji powieściowej. Chęć ujarzmienia Natalii nie musi być snobizmem — jak chce p. Toporowski — i to snobizmem w najmniej szlachetnym gatunku; niekoniecznie jest ona podświadomym objawem tęsknot dorobkiewicza, by przez małżeństwo zrównać się socjalnie z światem arystokratycznym. Zainteresowanie Natalii, które a limine nie było niepodobieństwem z uwagi na irracjonalność sfery erotycznej, mogło być dla Judyma sprawdzianem jego wewnętrznego rozrostu, jego zwycięstwa dzięki temu nad światem wrogich, obcych sił, symbolem ukorzenia się przed nim piękna zastanej cywilizacji. Mogło być wyrazem tęsknoty do pokonania tych, co przez wrogą świadomość klasową stoją na zawadzie wierze w potęgę własnego ducha. Jeśli snobizm, to snobizm Pankracego, gdy pragnie duchowego ujarzmienia hr. Henryka; to snobizm ideologa proletariackiego, który marzy o pałacach bogaczy, nie jako o celu samym w sobie, ale jako afirmacji równości człowieczej, jako symbolu opanowania i przeistaczania cywilizacji, tworzonej dla celów egoistycznych przez kogo innego. Snobizm w mało szlachetnym gatunku możnaby przypisać Judymowi wtedy, gdyby sprawa zdobycia Natalii łączyła się trwale w jego świadomości z wypieraniem dawnej świadomości klasowej i chęcią przyswojenia sobie pojęć, ideałów, postawy życiowej jej klasy.

Pokusy, które w czasie pobytu naszego bohatera w Cisach ciągną go w stronę możnych tego świata, nie wyglądają na istotne niebezpieczeństwo dla służby społecznej doktora. Krótki epizod z Natalią wprowadza ostateczny ład w zmąconej nieco nowymi wrażeniami świadomości Judyma.

P r a w d z i w a m i ł o ś ć J u d y m a. „Zapały miłosne" Judyma ku Natalii przechodzą bez śladu. Natomiast zobrazowaniu miłości jego do Joasi poświęcone są wspaniałe karty, pełne przejmującego liryzmu, sięgające najsubtelniejszych drgnień uczucia, choć — przyznać to trzeba — dalekie jeszcze od mistrzostwa późniejszych powieści. Od chwili rozkochania się w Joasi uderza zmiana całej oso-

bowości doktora, podobnie jak po rozstaniu się z nią następuje stan duchowej prostracji.

P. Toporowski twierdzi, że z tych uczuć nic nie może wyniknąć, bo brak im pożaru namiętności, bo mają charakter platonicznego porywu o podkładzie refleksyjnym. Gdyby przyjąć nawet taką tezę w odniesieniu do bohaterów Żeromskiego, jest ona w tym przypadku bez znaczenia, gdyż twierdzenie o platonicznym charakterze uczucia do Joasi nie znajduje oparcia w tekście. Są w tej miłości silne sensacje zmysłowe, nad którymi wznosi się nadbudowa duchowej ekstazy. Zależnie od nastroju zaznacza się oscylacja między zmysłowością a duchowością, ale trudno właściwie określić, gdzie się jedna zaczyna, a druga kończy. Z braku miejsca nie podaję cytatów dosłownie, lecz odsyłam do tekstu.[1]

Rozkochanie się Judyma w Joasi nie jest nagłe i nieumotywowane. Oddawna rozwija się w Judymie sympatia do uduchowionej i pełnej wdzięku nauczycielki, „bratniej duszy". Rozdział „Przyjdź" wskazuje, jak silna była w nim potrzeba rozkochania się w kimś, już po przekonaniu się, że Natalia szaleje za Karbowskim. Rozmowa z Joasią po ucieczce Natalii to pierwsze właściwie intymne zetknięcie się doktora z p. Podborską. Zbliżenie fizyczne, na które — jak wiemy z przygody paryskiej — doktor Tomasz jest bardzo wrażliwy, staje się ową nawałnicą, która pozwala rozwinąć się ziarnu, kiełkującemu poprzednio w tej spragnionej miłości glebie.

„Dług przeklęty". P. Toporowski zapytuje: „Skąd nagle (podkr. moje) szewski syn, twardo przepychający się przez życie, bierze tę odpowiedzialność, niepodzielną miłość do proletariackiej nędzy?"

Czy zjawia się to naprawdę nagle, jak deus ex machina? Czy w dotychczasowym przebiegu akcji nie mieliśmy dowodów tej miłości, choć mąciły ją chwile pokuszenia?

Tylko społecznik wbrew woli może — zdaniem p. T. — nazywać ludzi pracy „motłochem", nędzę robotników „zmorą podłą", a swą pracę społeczną „przeklętym długiem". Tu już uderza niezrozumienie faktu, że człowiek urzeczony służbą dla wielkiej idei, wymagającej zapomnienia o przyjemnościach życia i zanurzania się w taedium vitae, może odczuwać tę służbę jako gniotącą tyranię, której niesposób się oprzeć. Toż właśnie w nastrojach buntu i bluźnierstwa przeciw tyranii ukochanego ideału, w przebłyskach tęsknoty za jasnością życia tkwi prawda rysunku psychicznego postaci Judyma — społecznika. Inaczej byłby może „białym charakterem" z utopijnych powiastek moralnych, jakimś „Panem Podstolim" polskiej demokracji na przełomie XIX i XX w. — W słowach Judyma o „motłochu" biją zarazem źródła tak dręczącej Żeromskiego antynomii: ciemny, upodlony motłoch wyróść ma na przyszłego budowniczego świata, Mesjasza nowoczesnego, jak to głosi wiara socjalistyczna w „świętego proletariusza"!

P. Toporowski twierdzi, że Judym odrzuca Joasię, bo nie mógłby pogodzić się z rolą szarego działacza, jednego z wielu, że pragnie wywyższenia, czego mu małżeństwo z Joasią dać nie może. Czy tak można sądzić o człowieku, którego żywot w Cisach w ten sposób wyglądał:

„O każdej porze dnia, a nieraz w zimowe noce, w mrozy, zawieje, roztopy na małych saneczkach albo piechotą, w grubych butach snuł się po drożynach między wsiami do chorych na ospę,

[1] Wyd. Mortkowicza z r. 1928: t. II, str. 50 — ww. 1 i nast.; str. 53 — ww. 8 od k. i nast.; str. 54 — ww. 2 od k. i nast.; str. 86 — ww. 9 od k. i nast.; str. 92 — ww. 13—17; str. 95 cała; str. 107 — ww. 5—8; str. 196 — ww. 11—25; str. 206 — ww. 3—7.

na tyfus, szkarlatyny, dyfteryty... Jak to zwykle bywa na świecie z ludźmi silnymi — nie ominął go ani jeden wyzysk. Brał jego pracę każdy, kto tylko mógł. Ale Judym drwił sobie z tego."

Ostatnia „szewska pasja". Słusznie twierdzi p. Toporowski, że zakończenie „Ludzi bezdomnych" budzi odruch protestu, zwłaszcza u czytelniczek. Ale zanim wypadnie głębiej je zanalizować, trzeba zaznaczyć, że uznanie decyzji Judyma za nierozumną czy niepraktyczną nie przesądza jeszcze ujemnie szczerości wewnętrznej i bolesności jego postanowienia. Protest budzi się w nas przede wszystkim dlatego, że Judym działa pod świeżym wrażeniem samobójstwa Korzeckiego. Następnie, stwierdziwszy władanie w nim afektu i sangwinicznych reakcyj nad rozwagą, owe znamienne „szewskie pasje", nie mamy zaufania do jego decyzji. Wygląda ona na natychmiastową reakcję po oglądaniu niedawno, wspólnie z Joasią, obrazów nędzy robotniczej. Znając nierówne usposobienie doktora, nie wierzymy w jego konsekwencję, nie wiemy, czy się nie załamie, gdy go zacznie drążyć zwątpienie o celowości postępku z Joasią. A wreszcie osądzamy przeważnie całą sprawę z dzisiejszego punktu widzenia: mamy dziś ogromny zastęp uspołecznionych kobiet z inteligencji, widzimy dużo małżeństw, w których kobieta jest nie tylko żoną, ale dzielnym zawodowcem, towarzyszem pracy. To uznanie dla społecznego trudu kobiecego nie istniało w epoce Judymów w stosunku do wydelikaconych kobiet z inteligencji, choć w owym czasie pojawiały się sporadycznie rewolucyjne „jaskółki" i oddane „pracy organicznej" „siłaczki".

I dlatego w oczach ówczesnej myślącej młodzieży mord duchowy, dokonany przez Judyma na sobie samym i Joasi, w imię skrajnie podjętego ascetyzmu społecznika, nie był dziwactwem ani pozą. Wywołał w niej głęboki wstrząs moralny, który w pewnej mierze wytyczył drogi pokoleniu straceńców 1905 roku.

Zakończenie „Ludzi bezdomnych" sięga wyżyn tego tragizmu, który bije z dziejów owych świętych średniowiecza, co zapatrzeni w ideał czystości, uzależniając od spełnienia go swą służbę Bożą, biczem wypalali z siebie żądze światowej rozkoszy. Czyż uznanie dziś, z perspektywy wieków, (w świetle psychoanalizy?) biczowania tego za dziwactwo, obłęd czy histerię podważy wiarę w subiektywną szczerość pobudek i prawdziwość odczuwanego bólu?

Kto wie jednak, czy Judym zdecydowałby się na rozstanie z Joasią, gdyby była ona inteligentką, pochodzącą z nizin społecznych. W obliczu prawdziwej nędzy proletariackiej w Zagłębiu Judym zaczyna odczuwać dzielącą go od Joasi przepaść klasową („Jesteś z innej kasty"). To nie przypadek, że na początku i końcu powieści pojawia się słowo „motłoch" w związku z Joasią. Ona pierwsza używa tego słowa dla określenia proletariatu. Ona, zdeklasowana szlachcianka, odczuwa swą obcość wobec rewolucyjnego tłumu i wyznaje to w Wersalu synowi szewca, wprawiając go w stan bolesnej zadumy. Mówi o tym z lękiem, okryta bladością. Społecznikowskie akcenty w słowach Joasi na tle Zagłębia brzmią nagle w uszach Judyma jak filantropijny sentymentalizm „białej rączki", inteligenckiego pięknoducha, niezdolnego do odczucia ponurego naturalizmu proletariackiego świata, który ma być odtąd jedynym światem Judyma. Judym nie wierzy, by Joasia pomimo subiektywnie dobrej woli mogła na dalszą metę wytrzymać obiektywną konfrontację z tym światem. Obawia się, że pod wpływem jej kobiecej tęsknoty do radości życia on raczej wewnętrznie się zatraci.

Nie jest prawdą, że Judyma mógłby pociągnąć jedynie arystokratyczny świat Natalii, natomiast mierzi go ideał życia, roztoczony przez Joasię, jako

zbyt mieszczański. Warto zaznaczyć nawiasem, że styl życiowy Joasi bliższy jest raczej stylowi dzisiejszego zamożniejszego proletariatu w spółdzielniach mieszkaniowych (meble!) niż scenerii drobnomieszczaństwa lub burżuazji. Ale arystokratyczny świat Natalii i neoteryzm inteligencki Joasi, mają urok w oczach Judyma tylko w chwilach pokuszenia. Gdy władają nim pierwotne afekty, przede wszystkim jego instynkt klasowy, oba światy wydają mu się równie obce. Duch jego buntuje się wtedy przeciw osmozie, wsiąkającej weń stamtąd, i rzuca swe gromkie „nie pozwalam".

Decyzja Judyma nie zjawia się zresztą niespodzianie. Jeszcze w Cisach odczuwa Joasię jako potężną dźwignię w swym życiu, ale zarazem łączy wyobrażenie o niej z poczuciem niebezpieczeństwa i nie dającego się uniknąć konfliktu:

„I tak ciągle płynęły w jego sercu dwie strugi: tęsknota i trwoga. Gdy przypatrywał się wykwintnej i delikatnej postaci panny Joasi, stawała mu w oczach, jak nieodłączne widmo, suterena z ulicy Ciepłej. Wszystko zdobyte znikało. Pamiętał o swojej rodzinie rzemieślniczej, o ciotce, która go wychowała, o towarzyszach jej zabaw... Zdawało mu się, że skulony, obdarty, głodny i zdeptany, stojący na samym brzegu upodlenia, jest w ciemnej izbie piwnicznej. I oto zstępuje po schodach ciemna osoba. Słychać cichy szelest jej sukien, pachnący szmer jej nadejścia... Zwolna schodzi, zatrzymuje się na każdym głazie. Niesie w oczach dalekowidzących przedziwne posłannictwo swojej miłości.

Wolno mu na nią patrzeć, ale jeśli się dźwignie i przemówi jedno słowo błagalne, jeśli dotknie jej ręki wyciągniętej, to wówczas nastąpi coś przeczuwanego, coś, co czyha, co czeka cierpliwie i wlepionemi oczyma patrzy na każde postanowienie."

Warszawa. *Henryk Schipper.*

R E C E N Z J E

LIRYKA POLSKA W 1935 ROKU

SEBYŁA WŁADYSŁAW. Liryka [polska w roku 1935]. Rocznik Literacki za rok 1935 pod redakcją Zofii Szmydtowej. Warszawa. Instytut Literacki 1936 str. 15—52

Twórczość liryczną, którą w latach ubiegłych omawiał K. W. Zawodziński, w ostatnim (czwartym) tomie Rocznika Literackiego za rok 1935 przedstawił Władysław Sebyła, poeta i krytyk literacki. Obszerne to sprawozdanie na 40 stronicach dużego formatu przynosi omówienie całej (przypuszczalnie) produkcji lirycznej w roku ubiegłym, w ogólnej liczbie 104 oddzielnych publikacyj, i składa się z dziewięciu rozdziałów, omawiających kolejno warunki twórczości poetyckiej, poezje wywołane śmiercią marszałka Piłsudskiego, twórczość o podkładzie religijno-filozoficznym, społecznym, poezję o intencjach artystycznych w ściślejszym znaczeniu, tradycjonalistów, awangardę oraz poezję satyryczne i przekłady poetyckie.

Podział powyższy, ułatwiający orientację w kierunkach i dążeniach (brak tylko choćby najskromniejszej syntezy końcowej, koniecznej ze względu na informatorski przede wszystkim charakter wydawnictwa)[1], utrudnia jednak

[1] Najkrócej ujęta — brzmiałaby ona: z dużej ilościowo produkcji poetyckiej 1935 roku wyróżniają się zbiory Karpińskiego (Trzynaście wierszy), Bąka (Śpiewna samotność) i Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej (Balet powojów), a także Jastruna (Dzieje nieostygłe), Ciesielczuka (Pentaptyk lapidarny), Łobodowskiego (Rozmowa z ojczyzną) i Dobrowolskiego (Powrót na Powiśle). Poza tymi trzema względnie siedmioma tomami, które winny dostać się do wypożyczalni książek i czytelni publicznych, nabywających z reguły każdą tandetę powieściową, a odrzucających wszystka co ma jakikolwiek związek z „poezją", reszta zainteresować może tylko specjalistów, poetów, czy bardzo już zaawansowanych czytelników. Żaden z wymienionych tomów nie jest debiutem, żaden też nie

rozeznanie się w hierarchii omawianych pisarzy, jeśli obok prawdziwych poetów, z racji owego podziału, pęta się któryś z hojnie rozkrzewionej rodziny grafomanów czy półgrafomanów (Zawodziński ustawiał ich w jeden pluton). To jednak nie przeszkadza krytykowi wyceniać bardzo wyraźnie autorów i ich twórczość, zwłaszcza debiutantów, dla których jest sędzią surowym, ale na ogół sprawiedliwym, wychodząc z założenia całkiem słusznego, że zadaniem „Rocznika" jest jeśli nie ostateczne wyrokowanie, to w każdym razie poważny udział w procesie f i l t r a c j i l i t e r a t u r y, o którym pisze Karol Irzykowski w artykule wstępnym wydawnictwa („Drogi sławy i drogi literatury").

Wprawdzie krytyk nie określa założeń i kryteriów estetycznych, jakimi kieruje się w badaniu i ocenie omawianych utworów, można je jednak łatwo wyprowadzić ze sposobu ujmowania i określania zjawisk literackich. Zdaje się, że za miarę najwyższą uważa miarę osiągnięcia artystycznego skorelowanego jednak najściślej z zawartością intelektualno-ideologiczną dzieła, w sporze zaś między tradycjonalistami a awangardą zajmuje stanowisko jedynie poważne i krytyczne, tj. potępiające zarówno nietwórczy, martwy epigonizm, jak i snobistyczne uganianie za lada nowością i modą literacką, pokrywające często (ale nie zawsze) przyrodzony brak talentu i wyradzające się w swego rodzaju osobliwą grafomanię (Peiper, Czereśniewski, Czuchnowski, z najgorszych Olcha, Gronowicz). W ujmowaniu zagadnień stosunku formy do treści stoi Sebyła na stanowisku raczej tradycyjnym, tj. rozróżnia dwa te składniki bardzo wyraźnie, starając się, o ile to możliwe, o równouprawnienie ich w ocenianiu. Taktyka to może i często korzystna, tu i tam może jednak zawieść i na błędny tor zaprowadzić. W stosunku do poezji takiego np. Karpińskiego ta dbałość o równowagę środków artystycznych i zawartości ideowej (owego „kośćca wewnętrznego" dzieła) doprowadza Sebyłę do osądu Karpińskiego niezupełnie trafnego. U Karpińskiego bowiem to, co krytyk nazywa werbalizmem (ależ werbalizm w poezji nie jest werbalizmem w sensie powszechnym), i to, co określa jako postawę „duchowego kalamburzysty", wynika z osobliwego ustosunkowania się poety do słowa, dźwięku, obrazu, wywołujących niejednokrotnie samą oryginalnością swych zestawień i ich odrębnością nowe układy wyobrażeń, myśli, idei... W ogóle zdaje się, że poeta i krytyk ulega tu potrochu obsesji straszaka „sztuki dla sztuki", a w wypadku Karpińskiego zachodzi jeszcze inna sprawa. W dobie, że tak ją nazwę, poskamandrowej, młode pokolenie poetów odzwyczaiło nas do tego stopnia od dobrej i pełny wydźwięk mającej poezji, od bogactwa i kunsztu stylistycznego, od wyrafinowanego obrazowania, że „zdyscyplinowana wirtuozeria, doskonałość formalna i obrazotwórcza" (że użyję słów krytyka) tego poety budzi jakąś nieufność, powątpiewanie i lekceważące posądzenie o pustkę wewnętrzną. Działa tu też do pewnego stopnia teror awangardy i jej teoretyków, peiperyzm rodzi pauperyzm fałszywego prymitywizmu, niezrozumialstwa, niedołęstwa, blagi, zakłamania. Z tym wszystkim trzeba jednak zaznaczyć, że krytyk lojalnie stwierdza, że (jego) „negatywny stosunek do samych założeń, do istoty tej — mowa wciąż o Karpińskim — poezji nic jej nie może ująć z lekkości, pomysłowości, kalamburycznej może, fantazji w obrazowaniu". To jednak, co Sebyła pisze dalej o bezideowości, braku kośćca wewnętrznego tej poezji, nie wydaje mi się słuszne, ale rozstrzygnięcie może tu przynieść jedynie przyszłość, dalszy rozwój tego poety, który jak dotąd dzięki skłonności do groteski niezdolny jest wprawdzie do tworzenia nowych mitów, ale doskonale rozwiązuje i naświetla już istniejące i zamierzchłe, wydobywając z próchna, które je pokrywa, nowe barwy i uwypuklając ich zawiłe bujno-linijne kształty. Świadczę się tutaj głównie „Gotyckim poematem" z cyklu „Trzynaście wierszy", utworem, w którym przepych ornamentyki, architektoniczne narastanie dwuwierszy, obok znakomicie odrysowanej postaci Świętego składają się na całość bezwzględnie doskonałą, przy czym koncepcja utworu, owo naświetlenie

---

przynosi utworów o wartości wyjątkowo stałej „spetryfikowanej" (wyjątek zrobiłbym chyba tylko dla Gotyckiego poematu Karpińskiego), mają jednak jeśli chodzi o miarę ich osiągnięć artystycznych, tak utrwalone pozycje, że winny przeniknąć do szerszej publiczności i zdobyć ich autorom rozgłos i poczytność.

mitu, zaznacza się wyraziście: poprzez bogactwo formy i linii nad stężałą w ekstazie postacią „świętego“ nachyla się ironicznie uśmiechnięta twarz człowieka współczesnego zaopatrzonego w skalpel analizy psychologicznej.

Drugim wypadkiem, w którym sąd Sebyły uważam za nietrafny, względnie zbyt pochopny, jest jego ocena „Pentaptyku lapidarnego“ Stanisława Ciesielczuka[1]. Ten rzadko odzywający się a rzetelny poeta, ostatnio pod wyraźnym wpływem Norwida tworzący, stara się „wrócić słowom ich wygłos pierwszy“, pragnie tak związać słowo z pojęciem, któremu odpowiada, żeby wszelka dowolność była wykluczona, żeby przy największej ekonomii wyrazu poetyckiego a jednak w artystycznym ujęciu oddać istotę rzeczy, istotę przemyśleń, owe „metafizyczne głębie istnienia“. Pan Sebyła twierdzi, że to mu się nie powiodło, że nie ma pokrycia między przeżyciami (raczej przemyśleniami) a ich poetyckim wyrazem. Sądzę, że się powiodło, przynajmniej w pewnej mierze, i świadczę się tu choćby jednym z pięciu wierszy, tj. znakomitym i ekspresji pełnym, a rytmicznie osobliwie pięknym utworem „Dwa ekstremy“. W ogóle powołując się w obu wypadkach dla poparcia swych sądów — na jeden tylko utwór, muszę podkreślić, że w sferze twórczości lirycznej, owych najwyższych szczebli doskonałości artystycznej, gdzie chodzi o osiągnięcie kształtu pełnego, koniecznego i ostatecznego, nawet największym twórcom nie dane było zdobywać zbyt często, że przypomnę wyznanie może największego z poetów, Baudelaira:

Ile potrząśnień dzwonków, ile zwodnych błysków,
ile razy potrzeba wpaść w karykaturę,
nim się w cel trafi.

Jestem zatem zdania, że pełnowartościowość choćby jednego osiągnięcia, doskonałość jednego wiersza zasługuje na podkreślenie, zarejestrowanie, utrwalenie i miejsce w panteonie poezji.

Poza tymi jednak dwoma zasadniczymi różnicami we wszystkich niemal innych momentach rozważna, chłodna i stanowcza postawa krytyczna Sebyły nie może nasuwać wątpliwości: za szczególnie szczęśliwe ujęcie i określenia krytyczne uważam omówienie poezji Jasnorzewskiej, stwierdzające drugorzędność jej „eugenicznych“ (doskonałe określenie!) wierszy. Twórczość Bąka została rzetelnie przedstawiona, podobnie jak poważna Muza Jastruna (szkoda tylko, że krytyk nie wypowiedział się w sprawie dość wyraźnych wpływów rosyjskich na tego poetę), obszerne omówienie głośnego zbioru Łobodowskiego jest b. ciekawe, zwłaszcza trafnie podkreślił Sebyła jakby obcość plemienną tego przereklamowanego poety: „Korzeniami, ideologicznie i formalnie wyrastają jego wiersze z liryki rosyjskiej, z bylin, z imaginizmu, z Błoka, z Jesienina przede wszystkim. Składnia sposoby obrazowania, rozkład akcentów w wierszu taki mają charakter, że chwilami ma się wrażenie, jakby to były przekłady z rosyjskiego. Na wrażenie to składa się i słownictwo, czasem brane wprost z rosyjskiego (krajucha, rozudały)“.

W ogóle Sebyła chce i umie stawiać sprawę jasno i otwarcie, kiedy mówi np. o głośnej dzisiaj poezji społecznej, zapytuje, czy nie chodzi tu raczej o zdobycie popularności, rozgłosu, zwłaszcza gdy mowa o wierszach Timofiejewa, lub pisaninie takiego Pasternaka, czy Grota (o tym ostatnim pisze Sebyła równie trafnie jak dowcipnie: unosi się nad tymi wierszami duch subjekta z Nalewek, który „szaleje“), ale w stosunku do takiego Dobrowolskiego, autora „Powrotu na Powiśle“, utworu, którego koncepcja została należycie przemyślana, raczej się myli: mam wrażenie, że ten poeta jest szczerze zapatrzony w swój ideał poezji spoecznej.

Z dwóch debiutantów (pomijając oczywiście debiuty czysto grafomańskie) bez litości ochłostanych przez krytyka możeby należało być względniejszym dla Dobrzyńskiego („Czarna poezja“) gdyż poza całą banalną frazeologią niektórych wierszy i wyświechtanym obrazowaniem, których przykłady przytacza Sebyła, jest w jego wierszach pewna świeżość i doza szczerego liryzmu, nieszczęściem brak samokontroli poety, a może także i głębszej kultury artystycznej, powoduje owo zachwaszczenie wierszy czasem żywych i mocnych w wyrazie. Inaczej jest z utworami Sarneckiego („Poszukiwanie siebie“); należy przyznać, że jego „naiwne pieśni o sobie i zmysłach“ to „rozwlekłe i gadatliwe wprawki“, które nie powinny ukazać się w druku (jak może i cały

---

[1] Pisałem o nim w 7-8 nr Ruchu Literackiego (1935) podobnie jak o omawianych przez Sebyłę o Bąku w Ruchu Literackim (1936), o Napierskim i Dobrowolskim w Marcholcie (4, 1936)

tom, skoro autor, jak zapowiada na końcu, ma gotowy nowy zbiór), ale w innych, zresztą niewielu wierszach, jest tu i tam jakiś ton własny, być może także i ambitny zamiar spoistej kompozycji tomu dającego pewną całość ideową zasługiwałby na uznanie, także w wierszu stanowiącym prolog jest kilka słów prawdziwych i budzących nadzieję:

Nie łączę pieśni w akordy, nie biję w niebo chorałem, to wypowiadam najprościej, co z siebie wyorałem.

Rozważania nad prozaicznymi wierszami Peipera i Flukowskiego, odbiegające mocno od niektórych ich apologetów, przekonywają i są w rezultatach zdaje się decydujące. Stwierdzenie, że pseudopoetycka pisanina Peipera wartości poetyckiej nie posiada, jest niedalekie od przyznania mu palmy pierwszeństwa w grafomanii, natomiast w stosunku do Flukowskiego („Dębem rosnę") Sebyła umie należycie ocenić i przedstawić ową „atmosferę wysiłku" w tworzeniu i recepcji tych sztucznych, zawiłych i ciemnych wierszy.

O poezji satyrycznej pisze krytyk mało, ale trafnie, najzdolniejsi z nich to Paczkowski i Hemar, następcy i naśladowcy Boya i Tuwima, zdolni, władający zręcznie kunsztem wiersza, ale jest w nich coś obcego, coś co kłóci się z językiem, a co podglądnięte zostało u poetów, na których się wzorują, a nie przeżyte i osiągnięte własnym wysiłkiem.

Wszechstronne, obszerne i trafne na ogół przedstawienie osiągnięć poezji lirycznej w roku ubiegłym w ujęciu Sebyły posiada dużą wartość tak dla przyszłego historyka literatury naszych czasów, jak i dla dzisiejszego czytelnika chcącego się zorientować w bieżącej produkcji poetyckiej.

Zamość. *Adam Szczerbowski.*

DO ŹRÓDEŁ FOLKLORU ROMANTYCZNEGO

STANKIEWICZ STANISŁAW. Pierwiastki białoruskie w polskiej poezji romantycznej. Część I (do roku 1830). Wilno 1936, str. 301. Wydawnictwo Tow. Pomocy Naukowej im. E. i E. Wróblewskich. Skład Główny: Dom Książki Polskiej w Warszawie.

Obserwując rozwój zainteresowań naukowoliterackich w latach ostatnich, niepodobna niezauważyć, że w ogromnej ilości wypadków ośrodkiem ich stają się przeróżne zagadnienia, związane z folklorem. Zjawisko to występuje we wszystkich krajach europejskich w różnych odmianach i o różnym napięciu. Tak więc w ostatnich miesiącach w czasopismach francuskich spotkać było można entuzjastyczne głosy o nowym przekładzie bajek litewskich i o nagrodzie, przyznanej Z. Strowskiej za tłumaczenie bajek polskich. Gdzie indziej, w Czechach lub Rosji, pojawiają się całe tomy bajek ludowych, gorliwie zbieranych przez specjalne komisje, w Anglii zaś i Francji wychodzą starannie opracowane zbiory baśni orientalnych. Nacisk kładę tutaj na prace, związane z baśnią ludową, niemal wszędzie bowiem wysuwają się one na czoło zagadnień folklorystycznych, do tego stopnia, że ostatnio coraz to silniej wyodrębnia się wiedza o nich z zakresu etnografii i przekształca w osobną dyscyplinę, bajkoznastwo. Dość wskazać na pierwszy kongres badaczy bajki (Märchenforscher), odbyty w listopadzie 1935 w Lundzie, by zorientować się w rozmachu nowej nauki, mogącej wylegitymować się dzisiaj już publikacjami tak monumentalnymi, jak niemiecki „Handwörterbuch des deutschen Märchens" lub imponująca seria FFC (Folk-lore Fellows Communications), wydawana przez Fińską Akademię Umiejętności, lub jak narastające z każdym rokiem studia nad teorią bajki i metodą jej badań, francuskie, angielskie, niemieckie i in. U nas o sprawach tych na ogół głucho, świeżo bowiem wydane zbiory pieśni ludowych śląskich i kaszubskich przez prof. Bystronia i Kamińskiego przynoszą jedynie surowy materiał pieśniowy, studia zaś nad tradycyjną twórczością ludową, w ciągu lat ostatnich systematycznie podejmowane przez prof. Bystronia, Janowa i autora obecnych uwag mają charakter wycieczek obliczonych na zrekognoskowanie nieznanych terenów raczej, aniżeli na terenów tych opis dokładny. Cechę ich podstawową stanowi operowanie przez autorów nowoczesnymi metodami naukowymi, tendencją ich wciągnięcie materiałów polskich w system ogólno-europejski, dopiero bowiem na takim tle zjawiska folkloru polskiego ukazują się we właściwym świetle. Niestety, jak wiem z doświadczenia własnego, prace te budzą daleko większe za-

niteresowanie wśród obcych, aniżeli w Polsce. U nas rzeczy te mijają bez echa, jakkolwiek poruszane w nich zagadnienia dotyczą niejednokrotnie spraw, obok których obojętnie przejść nie może człowiek, interesujący się nauką o literaturze. Dowodem tego okazała praca S. Stankiewicza, usiłująca wyznaczyć rolę pierwiastków białoruskich w pierwszej fazie naszego romantyzmu, ściślej biorąc w twórczości pisarzy, których niegdyś określano mianem „szkoły litewskiej", a więc Mickiewicza i towarzyszów jego młodzieńczych wzlotów na romantyczny Parnas.

Praca ta, budząca szacunek ilością wysiłku włożonego w nią przez autora, nie jest absolutną nowością, już bowiem w r. 1900 Zdziarski ogłosił ogromną księgę o „Pierwiastku ludowym w poezji polskiej", księgę, która uległa zapomnieniu, w dużej mierze zasłużonemu. Zdziarski mianowicie, pod pretekstem badań pierwiastka ludowego, pisał do omni re scibili, rozpychając swe rozważania mnóstwem wtrętów obcych, ponadto zaś operował metodą daleką od ścisłości i wskutek tego dającą rezultaty zawodne. Stosunek zjawisk literackich do folklorystycznych ustalać się musi metodą, używaną w ustalaniu związków między zjawiskami folklorystycznymi, a więc opartą na znajomości natury tych zjawisk. Zjawiska te zaś są daleko bardziej chwiejne i płynne od literackich, stąd konieczna jest bardzo ostrożna ich selekcja. Ujmując rzecz schematycznie, powiedziećby można, że poszukując dla utworu literackiego, złożonego z motywów ABC, jego prototypu w folklorze, musi się znaleźć prototyp identyczny nie ulegając pokusie zajęcia się zjawiskami analogicznymi, jak abc, Abc, itd. itd., inaczej bowiem zabrnie się na manowce bez wyjścia, na których można wprawdzie zebrać mnóstwo paralel, ale ze zbioru tego nic nie wyniknie. Nie rozumiał tego Zdziarski, nie rozumie też Stankiewicz, bijący poprzednika dokładniejszą znajomością materiałów tradycyjnych, zarówno ogłoszonych drukiem, jak zebranych osobiście na brzegach Świtezi.

By nie nadużywać formuł abstrakcyjnych, zilustruję rzecz na dwu przykładach mickiewiczowsko-chodźkowskich. Mickiewicz tedy napisał do przyjaciela, autora „Malin", słaby wierszyk, w którym, wywdzięczając się Chodźce za pochlebne porównanie z orłem, określił go jako „kolibryka". Stosunek obydwu ptaków ujął w postać szeroko znanej bajki ezopowej o zawodach orła z chytrym strzyżykiem, który ukrył się w skrzydle króla ptaków, a gdy tego „puściły na wyżynach siły", wzleciał tryumfalnie w górę i jął głosić swą nad nim wyższość. Bajka ta rozprzestrzeniła się po olbrzymich obszarach, znają ją nawet Malajczycy, których wymienić tutaj się godzi, u nich bowiem właśnie rywalem orła jest kolibr. Rzecz znamienna, że spotyka się ją często gęsto w Polsce zachodniej oraz na Ukrainie, nie stwierdzono jej natomiast, przynajmniej dotychczas, na Białej Rusi. Wniosek stąd taki, że w pracy o elementach białoruskich u Mickiewicza wspominać jej nieznanych na dużym terenie odmian ludowych nie należy, przypuścić się bowiem godzi, że młody poeta znał ją z lektury książkowej. Tymczasem Stankiewicz pisze: „Ten sam motyw znajdziemy również w ludowych baśniach", przytacza bajkę o zawodach lwa z jeżem, po czym konkluduje: „Widzimy więc, że pomiędzy utworem Mickiewicza a ludową baśnią istnieje dość wyraźna analogia". Tożsamość a dość wyraźna analogia to nie jedno i to samo, stwierdzenie zaś analogii w danym wypadku o wierszu nic nie mówi.

Podobnie ma się rzecz ze sławnymi „Malinami" osnutymi przez Chodźkę na motywie pieśni, z której zapamiętał wiersz „Graj, pastuszku, graj". Stankiewicz, znając to wyznanie pisarza, i znając studium Bugiela o pieśni, nie mógł nie wiedzieć, że pieśń to polska, mimo to zestawił balladę Chodźki z analogiczną pieśnią białoruską „nie hraj, nie hraj pastuleńku". Po co — niewiadomo, zadaniem pracy jest przecież ustalenie motywów pochodzenia białoruskiego u Chodźki. Wiadomo natomiast dlaczego. Szlachetna ambicja początkującego pracownika naukowego nieraz prowadzi do gromadzenia faktów, byle ich było jaknajwięcej, a obojętna jakich. W ten sposób rosną grube książki, których rezultaty można by zamknąć w książeczce bynajmniej rozmiarami nie imponującej ale naprawdę naukowo cennej. W danym wypadku książka rozrosła się również dzięki kilku słowniczkom wyrazów białoruskich, niekiedy — choć rzadko — problematycznych, mimo, że wystarczyłby jeden słownik

wspólny, zawierający zapożyczenia białoruskie u samego Mickiewicza i jego wileńskich kolegów.

To samo, co rzuca się w oczy w uwagach o całych utworach, dotyczy również drobnych szczegółów, którymi poeci posługiwali się dla osiągnięcia rozmaitych efektów artystycznych, a które książka nazbyt imperialistycznie a mniej naukowo uznaje za elementy białoruskie. Typowy przykład to rozbiór ballady „Powrót Taty". Prototypu jej ludowego nikt dotąd nie znalazł i, jestem przekonany, nie znajdzie. Ale Tretiak zauważył, że dwunastu zbójców nieraz figuruje w baśniach, Kleiner zaś zaznaczył, że w baśniach białoruskich pojawia się motyw skruszonego czy pokutującego zbója, Stankiewicz więc i jedno i drugie skrupulatnie przytacza, choć szczegółów tych zidentyfikować niepodobna, a podobieństwa są bardzo problematyczne.

Podobnych wypadków przytoczyć możnaby mnóstwo, ich nadmiar mocno obniża wartość książki o „Pierwiastku białoruskim"; zajmować się nimi tutaj nie będę, wymagałoby to bowiem sporego artykułu, dla którego właściwszym miejscem były by karty lwowskiego „Ludu". Chodzi mi o to tylko, co stanowiło punkt wyjścia w rozważaniach obecnych, o błądzenie poomacku, choć są szlaki nietylko przetarte ale wręcz wyasfaltowane. Dość wziąć w rękę znane dzieło Boltego i Polivki o bajkach Grimmów, by znaleźć w nim cały materiał, dotyczący bajki o orle i strzyżyku, lub monografię Mackensena o motywie śpiewającej kości, na którym opierają się „Maliny", by utwory Mickiewicza i Chodźki osadzić na tle właściwym. Bez kontaktu z nauką europejską i znajomości jej zdobyczy studia nad folklorem polskim i jego stosunkiem do literatury pozostaną tylko zaściankowymi próbami, marnowaniem sił, czasu i papieru. A przecież ilość pracy, włożona w książkę o „Pierwiastku białoruskim", wskazuje, że autor jej, zdobywszy europejski ekwipunek naukowy, mógłby dać dzieło naprawdę cenne i naprawdę potrzebne.

Warszawa. *Julian Krzyżanowski.*

BIOGRAFIA BŁAZEŃSKA

HILSBERG WERNER: Der Aufbau des Eulenspiegel-Volksbuches von 1515. Ein Beitrag zum Wesen der deutschen Schwankliteratur. Hamburg 1933, s. VIII, 42, 1 nlb. 8⁰.

Powieść o Sowizdrzale stała się przedmiotem badań naukowych dopiero w XIX wieku i w krótkim czasie doczekała się znakomitej bibliografii, napisanej przez J. M. Lappenberga [1]. Od tego czasu ukazują się stale nowe publikacje, które wiedzę naszą o Eulenspieglu posuwają nieustannie naprzód. Do najwybitniejszych prac z tego zakresu zaliczyć należy studia Schrödera [2]. Obok tego zasługują na uwagę prace: Brie'a [3], Jeepa [4], Lemckego [5], Kadlca [6], Scherera [7], Walthera [8] i Zibrta [9]. Do grupy tych publikacyj zaliczyć nie można pracy Hilsberga: Der Aufbau des Eulenspiegel-Volksbuches von 1515. Wyniki, do których autor doszedł są stosunkowo skromne i ograniczają się do oświetlenia sposobów połączenia ze sobą odrębnych opowiadań, składających się na powieść o Sowizdrzale.

Wśród powieści ludowych wyróżnia Hilsberg z b i o r y różnych luźno ze sobą powiązanych anegdot — są to tzw. Sammelbücher. Osobną wśród nich grupę tworzą romanse błazeńskie (Schwankbücher). Zawierają one wyłącznie

---

[1] Dr Thomas Murners Ulenspiegel. Hrsg. von J. M. Lappenberg. Leipzig 1854.

[2] Edward Schröder: Geleitwort zur Facsimilien-Ausgabe des Strassburger Textes von 1515. Leipzig 1911. Tegoż: Ein unbekannter Eulenspiegel-Druck. Zeitschrift für deutsches Altertum und deutsche Literatur. Bd. 70. 1933, s. 273—279.

[3] E. Brie: Eulenspiegel in England. Berlin 1903. (Palaestra 27).

[4] Ernst Jeep: Eulenspiegel. Mitteilungen aus dem Zeigverein des allgemeinen deutschen Sprachvereins. Berlin 1895, nr 8, s. 112—132.

[5] Heinrich Lemcke: Der hochdeutsche Eulenspiegel. Bonn 1908. (Diss. Freiburg).

[6] Edward Kadlec: Untersuchungen zum Volksbuch von Eulenspiegel. Prag 1916. (Prager Deutsche Studien 26).

[7] W. Scherer: Die Anfänge des deutschen Prosaromans und Jörg Wickram von Colmar. Strassburg 1887.

[8] Chr. Walther: Zur Geschichte des Volksbuches vom Eulenspiegel. Jahrbuch des Vereins für niederdeutsche Sprachforschung. Norden Bd 19. 1893.

[9] Czeniek Zibrt: Enszpiglovska literatura cizi i česka. Praha 1926. (Z Prahu knihoven. Zbirka starych a vzacnych tisku. Svazek 3).

anegdoty o różnych kawałach i figlach. Dzieli je Hilsberg na cztery typy: akumulacyjny, seryjny, szeregowy, oraz na biografie błazeńskie. Opowieść o Sowizdrzale jest właśnie taką typową biografią błazeńską. Powstała ona w ten sposób, że zbiór różnych opowiadań o wyczynach Sowizdrzała, uzupełniono anegdotami, dotyczącymi jego urodzenia, młodości i starości. Jedynym właściwie łącznikiem tych wszystkich anegdot to występujące w każdym opowiadaniu nazwisko Sowizdrzała. Dalszych więzów, łączących wszystkie anegdoty nie ma. Jedynie o grupie opowiadań, dotyczących młodości i starości Sowizdrzała można powiedzieć, że jest ze sobą wewnętrznie powiązana.

Reszta opowiadań, z których składa się właściwy trzon powieści o Sowizdrzale, nie tworzy żadnej zwartej grupy. Mimo to znać tu bardzo silną tendencję do — choćby czysto zewnętrznego — połączenia wszystkich anegdot. Widać ją już u autora, który stara się jakoś poszczególne opowiadania ze sobą powiązać, stwarzając najczęściej czysto formalne przejścia od jednej anegdoty do drugiej. Jeżeli anegdoty połączono ze sobą ze względu na podobną treść wtenczas powstaje g r u p a. Grup takich wyróżnia Hilsberg 8, każda składa się z dwóch opowiadań (są to anegdoty: 25 i 26, 28 i 29, 43 i 49, 52 i 53, 54 i 55, 57 i 58, 60 i 61, 82 i 83 — numeracja opowiadań odnosi się do tekstu najstarszego, do naszych czasów dochowanego tekstu niemieckiego z r. 1515). Jeżeli natomiast poszczególne anegdoty połączono ze sobą czysto formalnie przez takie zwroty jak np.: Gdy Sowizdrzał od onego kowala odszedł... tworzy się ł a ń c u c h opowiadań. Formułka łącząca poszczególne anegdoty znajduje się przeważnie na początku, bardzo rzadko na końcu opowiadań. Zdarza się jednak, że napotykamy ją równocześnie na początku i końcu jakiejś anegdoty.

Sposobów łączenia rozróżnia Hilsberg cztery; powstają dzięki nim grupy, łańcuchy, szeregi i serie. Grupy i łańcuchy tworzy sam autor, wysuwając elementy wspólne kilku anegdotom. Przy szeregach autor pozostawia wyłowienie momentów wspólnych czytelnikowi. Zdarza się nieraz, że anegdoty, łączące się w szeregi zazębiają się o grupy lub łańcuchy, przez co powstają s e r i e opowiadań. Seryj takich wyodrębnił już Lappenberg[1] 13. Ustaloną przez niego liczbę seryj przejął i Hilsberg, wprowadzając jedynie kilka drobnych zmian.

W całej swej pracy przeciwstawia się Hilsberg poglądom niektórych badaczy, że opowieść o Sowizdrzale jest zlepkiem rozmaitych ze sobą niepowiązanych anegdot. Autor stara się wykazać, że wszystkie te pozornie luźno obok siebie stojące anegdoty są ze sobą powiązane, choć sposób połączenia jest w przeważnej części czysto zewnętrzny (formalny).

Szereg twierdzeń autora, możnaby poddać dyskusji, czego z powodu braku miejsca nie czynię. Dla ścisłości zaznaczyć należy, że tytuł rozprawy doktorskiej Hilsberga tylko w skromnej mierze odpowiada zawartej w pracy treści.

Poznań. *Jan Miśkowiak.*

KSIĘGA OFIAROWANA PROF. ĆWIKLIŃSKIEMU.
MUNERA PHILOLOGICA LUDOVICO ĆWIKLIŃSKI bis sena lustra professoria claudenti ab amicis collegis discipulis oblata. Posnaniae 1936. Liber editus cura Circuli Posnan. Societatis Philologae Polonorum. Pag. XI, 433.

Prof. Ludwik Ćwikliński ma poważną kartę w dziejach polskiej nauki i kultury. Fundamentalne są jego zasługi w zakresie filologii klasycznej. Nie ma w Polsce chyba humanisty, który by się nie kształcił w młodych latach na jego słynnej gramatyce greckiej, stojącej w rzędzie najlepiej opracowanych podręczników szkolnych. Żaden zawodowy starożytnik nie mógł ominąć prac Ćwiklińskiego, drukowanych czy to oddzielnie, czy w tomach „Eosu", czy wreszcie w wydawnictwach Poznańskiego Towarzystwa Naukowego i Koła Towarzystwa Filologicznego. Ale i poloniści wspominać muszą nieraz jego nazwisko. Nietylko dlatego, że jako szef departamentu a potem kierownik austriackiego Ministerstwa Oświaty służył czynną pomocą badaniom nad literaturą polską, ale przede wszystkim dlatego, że sam oddawał się tym badaniom z wielką gruntownością i pożytkiem. Szczególnie zajmowali go zawsze pisarze polsko-łacińscy z zarania w. XVI. Jemu zawdzięczamy wzorową, niedawno wy-

---

[1] Op c. s. 348.

daną edycję pism Klemensa Janiciusa (Kraków, Akademia Umiejętności 1930); w roku zaś zeszłym otrzymaliśmy odeń garść ciekawych przyczynków do twórczości wspomnianej epoki. To też nic dziwnego, że w księdze pamiątkowej, wydanej ku czci prof. Ćwiklińskiego w sześćdziesięciolecie jego profesury lwią część co prawda stanowią Quaestiones ad litteras Graecas pertinentes oraz Quaestiones ad litteras Latinas pertinentes, ale znalazł się też obszerny dział trzeci Quaestiones variae, w nim zaś kilka prac nie obojętnych dla polonisty. Tym właśnie pracom godzi się nieco uwagi poświęcić na kartach „Ruchu Literackiego".

Na pierwszym miejscu postawimy rzecz ks. Bronisława Gładysza, ujmującą problemat zasadniczy: „O studium łacińskiej filologii średniowiecznej w Polsce". Autor, będący u nas najczynniejszym i najbardziej wykształconym badaczem łacińskiej pieśni kościelnej, podaje tu najpierw zwięzłe informacje o stanie badań zagranicznych nad łacińską literaturą średniowieczną, następnie trafnie określa rolę i przydatność tych badań dla filologa-klasyka, historyka, filozofa, teologa, a wreszcie dla neofilologa, w którego pracy „w ogóle punktem wyjścia jest łacińska literatura średniowieczna, a nie literatura antyczna". Znawstwa średniowiecznej literatury łacińskiej wymagać się powinno przeto niejednokrotnie i od polonistów. Na razie niestety jest to jedynie pium desiderium: „skutkiem niedostatecznej znajomości łacińskiej literatury średniowiecznej badania polskich uczonych posuwały się niejednokrotnie w błędnym całkiem kierunku". Utyskiwanie to najzupełniej słuszne, zwłaszcza w zakresie spraw wersyfikacyjnych ignorancja zawsze była — i jest jeszcze — niezmiernie jaskrawa. Jest też wiele innych przykładów rażących. Nie pomyślały dotąd o sprowadzeniu nawet najbardziej podstawowych dzieł dotyczących łacińskiego średniowiecza niektóre biblioteki uniwersyteckie... Najpoważniejszym jednak grzechem, odbijającym się fatalnie na wielu dziedzinach naszej nauki (m. n. także na historii i lingwistyce), jest ciągłe korzystanie z tekstów naszych źródeł historycznych według starego wydania Bielowskiego, któremu już Brandowski przed kilkudziesięciu laty wytykał kiepską metodę filologiczną.

Ks. Gładysz wylicza tych rari nantes, którzy u nas mają odwagę naprawdę studiować łacińską literaturę średniowieczną u źródła — i badać jej związki z kulturą polską; dodać należałoby kilka jeszcze, a przede wszystkim najważniejszego i najodważniejszego z nich, R. Ganszyńca. Jeden z wyliczonych śmiałków zajął się znanem epitafium Bolesława Chrobrego (zniszczonem w XVIII w.), oczyszczając tekst z samowolnych dodatków Bielowskiego oraz starając się zrekonstruować jego brzmienie właściwe. W „literaturze przedmiotu" popełnił dwie luki: nie uwzględnił recenzji Maleczyńskiego z książki ks. P. Davida (Kwart. Hist. 1932) oraz zawartej w „Herbach" Paprockiego wiadomości o rzekomym „nagrobku Wandy", zaczynającym się od tych samych słów, co epitafium — Bolesławowskie: Hac jacet in tumba.

Średniowiecze łacińskie w związku z kulturą polską ukazuje się jeszcze w pracy Stefana Wierczyńskiego, przynoszącej omówienie poematu o św. Aleksym, znajdującego się w rękopisie Bibl. Krasińskich. Zestawienia z innymi tekstami są bardzo trafne i przekonywające. Pozwolę sobie na zapytanie, czy wiersz przytoczony na str. 372 nie powinien brzmieć: queritur, quis pulsat, cui pulsat, cursitant omnes; gdyż pulsatur jest o jedną zgłoskę za długie. Ale jest też z innych miejsc widoczne, że wierszopis nie bardzo zważał na rytmikę.

Aleksander Turyn swym Anecdoton Janicianum wprowadza nas w wiek XVI i w sferę najbliższych zainteresowań jubilata, ogłaszając dokonaną przez Janickiego (per Clementem Januscovium Polonum) parafrazę psalmu: In te Domine speravi. Dołączył trzy epigramaty, przypuszczalnie też pisane piórem Janickiego.

Dwie następne prace nawiązują do tematów, które ostatnimi czasy miały w polonistyce pewną wziętość. Wiktor Hahn rozpatrzył „Motywy klasyczne w tragedii o polskim Scilu-

[3] Prof. Sinko w liście do mnie, przyjmując poczynione w rozprawie przestawki, wyraża przypuszczenie — słuszne, jak sądzę — że po: septenni tempore Romam, i po: bellum quoque guerras, były 2 wiersze, z których jeden uzupełnił treść zdania o hołdzie Rzymowi, drugi wyliczał wojny Bolesława. Nieczytelny wyraz przed: Boleslaus odczytuje jako: [laus] sine fine.

rusie Jana Jurkowskiego", wskazując przede wszystkim główne źródło tytułu i tematu owej „tragedii" w dziełach Plutarcha, następnie podobny wątek w bajkach Ezopa (oraz przeróbkach tychże). Zasadniczy temat utworu rozszerzył się w cz. II motywami z Ksenofonta (podaniem o Herkulesie na rozstajnych drogach), w cz. III motywami trojańskimi, zapożyczonemi po części z „Sądu Parysa" Lochera, a ponadto we wszystkich częściach reminiscencjami różnych pisarzy, wśród nich znowu Ezopa i Plutarcha.

Wilhelm Bruchnalski zajął się motywami „Pięknej kobiety w poezji Kochanowskiego", stwierdzając, że w wizerunkach nakreślonych przez poetę kolorystyka przedstawia się mocno, natomiast ruch zaznaczony jest blado, wszystkie zaś znamiona piękności podporządkowują się stale pod hasło, iż piękność fizyczna kobiety „nie ma znaczenia bez piękności i zacności moralnej". Badacz uwydatnił stosunek owego ideału piękności do wzorów renesansowych, wzorów formalnych znajdowano już dawniej wiele, czy to w poezji łacińskiej i greckiej, czy włoskiej (Petrarca, Ariosto), czy hebrajskiej („Pieśń nad pieśniami").

Pamiętano o tym, że Ćwikliński przed półwiekiem (1881) ogłosił ważną po dziś dzień rozprawę „Homer i Homerycy". Nawiązał do niej, w uzupełnieniu cennych badań Sinki, Stanisław Witkowski, omawiając „Sądy o Homerze w Polsce na przełomie XVIII i XIX wieku". Ów przełom wieków był jednocześnie przełomem w sądach o Homerze — i to pod dwojakim względem. Po pierwsze ważyła się wtedy sprawa unitaryzmu i separatyzmu poematów homerowych, doprowadzona do stadium zaognienia teorią Wolffa; po wtóre ważyły się oceny tych poematów z estetycznego punktu widzenia. Toczy się więc spór o „wyższość" Homera czy Wergilego, łącznie ze sporami natury ogólniejszej: o geniusz i talent, o prostotę i kulturę itd. Ścierają się opinie idące z kół oświecenia francuskiego i angielskiego, następnie z dzieł wielkiej literatury niemieckiej w. XVIII. Od wtórnych odgłosów, powtarzań cudzych sądów polscy pisarze przechodzą do własnych poglądów na Homera i dzieła Homerowe. Okres to płodny w przekłady, ale ważniejszy nad nie jest wspaniały owoc posiewu Homerowego w Polsce: uczeń Groddecka, autor „Grażyny" i „Pana Tadeusza", Adam Mickiewicz.

Następne trzy rozprawy wiążą się z bliższą ojczyzną Ćwiklińskiego Wielkopolską. Magna parens filologii klasycznej w naszym narodzie nazywa ją Wincenty Ogrodziński, mówiąc o „Wielkopolanach na katedrze filologii klasycznej w Krakowie w XIX w". Ocenił tu zasługi uczonych, pochodzących z tej ziemi: Małeckiego, Brandowskiego, Morawskiego, wspomniał też filologów wielkopolskich działających w innych uczelniach: Plebańskiego, Węclewskiego, Wolframa i jubilata Ćwiklińskiego, a ponadto i tych, którzy do katedry filologii pretendowali: Bronikowskiego, Mottego. Sądzę, że należałoby dodać do nich i ks. Pawlickiego, jako specjalistę od filozofii greckiej.

Plebański, Węclewski, Przyborowski, Pawlicki byli profesorami Henryka Sienkiewicza w Szkole Głównej; oni to (a z poza kręgu poznańskich nauczycieli Koszewski i Popiel) pierwsi wtajemniczyli przyszłego autora Quo vadis w sprawy świata antycznego. Gdy zaś powstawały: „Pójdźmy za nim", „Quo vadis", „Diokles" i niezrealizowana powieść o Julianie Apostacie, wówczas głównym (obok Siemiradzkiego) przewodnikiem po owym świecie był Kazimierz Morawski. Pisałem już o tym wielokrotnie, ogłaszając — jako argument — urywki listów, pisanych przez Sienkiewicza do ukochanego „profesora"; w ich świetle ukazuje się jasno geneza i sens roli Ligów w „Quo vadis". Do kwestii tej powrócił Stanisław Pilch w rozprawie „Czem była Ligia w zamiarze Sienkiewicza", rekapitulując badania dotychczasowe. Tej rozprawce, nader skrupulatnej i ścisłej, jedno miałbym tylko do zarzucenia: Ligia w zamiarze Sienkiewicza była poprostu Polką, Wielkopolanką, natomiast nic zgoła nas nie upoważnia do tego, by uważać ją za zbiorowy symbol Polski. Hipoteza na ten temat, stworzona przez Ptaszyckiego, a podjęta przez T. Zielińskiego, opiera się na mniemaniu, jakoby Sienkiewicz znał twierdzenie Brücknera, iż imię Mieszka oznacza „niedźwiedzia", wobec czego Ursus-niedźwiedź ma to być Mieszko, a tur germański to Gero i Niemcy. Mniemaniu takiemu przeczy jednakże wiele okoliczności. Przede wszystkim wywód Brück-

nera został ogłoszony dopiero w r. 1898 (Przegląd Polski — opowieść pt. „Córa Niedźwiedzia"), gdy „Quo vadis" zaczęło się drukować w marcu 1895 r., a niektóre jego rozdziały były gotowe już w lecie 1894 (odczytywał je wtedy autor w Zakopanem). Po wtóre imię Ursusa, częste w katakumbach, znał Sienkiewicz od roku 1879 z autopsji, a od r. 1890 z dzieła de Rossiego. Po trzecie, prototyp Ursusa nawet z odmianą jego imienia — Orso — już dawniej zjawił się w twórczości Sienkiewicza i nie miał nic wspólnego z symboliką Polski. Po czwarte o dziewicach chrześcijańskich przywiązywanych do rogów turzych w cyrku czytał Sienkiewicz w źródłach starożytnych, z jakich korzystał (np. u Klemensa rzymskiego, Ad Corinthios I, 6, 2 itd.), więc był to szczegół realistyczny, nie symboliczny. Nadmienię, że i w pismach Allarda, na które wyraźnie powołuje się Sienkiewicz, jako na źródło swej wiedzy o prześladowaniach chrześcijan, również ten sposób męczenia dziewic chrześcijańskich jest wspominany.

Do obficie przytoczonej przez Pilcha literatury o Ligach u Sienkiewicza dodać można jedną jeszcze pozycję „Ligia-Lechia-Polska" ks. A. Pieńkowskiego (Głos Lubelski, listopad 1924); zresztą przynosi ona stosunkowo niewiele.

Nader ciekawe są wydobyte przez R o m a n a P o l l a k a szczegóły o „Abiturienta Jana Kasprowicza pracy łacińskie"; wraz z dawniejszymi wiadomościami o pierwszych poematach Kasprowicza wyjaśniają nam one genezę zamiłowań klasycznych poety.

Na pięknej rozprawie B r o n i s ł a w a D e m b i ń s k i e g o „L'amitié franco-polonaise 1791", zawadzającej i o sprawy kultury, kończy się zasób prac, które w tej cennej i bogatej treścią księdze zaciekawić mogą polonistę.

Warszawa.

Józef Birkenmajer.

N O T A T K I

W SPRAWIE BYLIN

Na replikę profesora Juliana Krzyżanowskiego, zamieszczoną w zeszycie poprzednim, tyczącą recenzji jego książki „Byliny", nadesłał profesor Aleksander Brückner następującą odpowiedź:

Zaznaczyłem w recenzji, że autor nie zadowolił się wykładem rzeczy powszechnie (nie u nas co prawda) znanych, lecz pokusił się o własną co do bylin ruskich hipotezę, a jej niedorzeczność wykazałem krótko i węzłowato. O moich argumentach zachował autor w swojej replice wymowne milczenie, zadowolił się wystawieniem sobie świadectwa, że popchnął badania na nowe tory (zapomniał dodać: fałszywe) i odwołał się do jakiejś mglistej przyszłości, która je potwierdzi albo usunie. Replika autorska jest obszerniejsza niż moja recenzja, lecz ani próbowała osłabić choćby jednego z moich zarzutów, wolała puszczać się na wszelakie wymyślania, w których prawdy ani za grosz. Oto pierwszy lepszy przykład: pomówił mię autor o romantyzm, bom się jeszcze rychło po zgonie Mickiewicza urodził; ależ jam właśnie pouśmiercał wszelaką romantykę, przyczepiłem ku największemu oburzeniu Czechów Libuszy wąsy, wymiotłem cały olimp polski z Krakami i Wandą ku największemu żalowi czeskich i polskich uczonych, zciągnąłem romanse słowiańskie o Cyrylu i Metodym, greckie o „Bogurodzicy" na padół ziemski: zawsze kierowałem 'pęd bojowy' przeciw każdej nieprawdzie, a więc i przeciw autorskiej. Że autor ani się domyśla istotnego znaczenia bylinnych świadectw polskich, ani znaczenia „Słowa Igorowego" dla bylin, dowodzę mu nie w jakichś tumanach przyszłości, lecz w rozprawach, oddanych już do druku.

Nie dosyć jednak na tem, żem usunął niemożliwą hipotezę; grozi bowiem autor, że przy

okoliczności poruszy sprawę autentyczności „Słowa Igorowego". Otóż należy zgóry zaprotestować przeciw podobnemu kompromitowaniu nauki polskiej. Rzecz to dawno przesądzona; dziś wątpić o autentyczności „Słowa" wartałoby to samo, co bronić autentyczności wymysłów „staroczeskich" Hanki i Sp. Więc caveant consules ne quid respublica literaria detrimenti capiat.

Berlin. *Aleksander Brückner.*

DO PRAWDY O „BOGURODZICY"

Do artykułu: Prawda o „Bogurodzicy" (R. L. XI, 3, str. 70, nr 13) dodatek: Stwierdziłem, że w B. R. razi nas zwrot „spuści nam"; teksty XV-wieczne nie znają innego, dopiero teksty XVI-wieczne poprawiają niezrozumiały, w każdy sposób dziwny tekst, na „spust winam" („spust" zamiast „odpust" całkiem niezwykłe!). O tej lekcji, jako późnej, nie wspomniałem, bo lectio difficilior jest zawsze starsza niż lectio emendatior. Z poprawnego pod każdym względem „U twego syna...zyszczy nam spust winam" nie mogło przenigdy powstać dziwaczne niezrozumiałe „U [to pierwsza mylka, mniemana poprawka!] twego syna...zyszczy nam spuści nam", więc gruby to błąd metodyczny wychodzić od późnej poprawki, zamiast od tekstu autentycznego. Dodałem to dla uniknięcia nieporozumienia, jakobym nie znał tej poprawki.

Berlin. *Aleksander Brückner.*

UWAGI DO RECENZJI J. DÜRRA

I. S ł u s z n e u w a g i p. D ü r r a:

(str. 106) nie znam obrazu Wyspiańskiego „Kra na Wiśle" (własn. St. Sokołowskiego w Łęczycy);

(str. 108) nie znam szkolnego rysunku Wyspiańskiego pt. Cid's Leben;

(str. 108) sąd o „Akropolis" jako ilustracji i interpretacji gobelinów wawelskich nie jest ścisły, winno być: „m i ę d z y i n n y m i t a k ż e jest ilustracją i interpretacją tych gobelinów"...;

(str. 110) część pejzaży z Kopcem Kościuszki malowana jest nie latem lecz jesienią;

(str. 110) portret „panny z aksamitką na szyi" nie jest podobizną p. Krzymuskiej, lecz p. Waśkowskiej;

(str. 111) Wyspiański był w Paryżu nie b l i s k o dwa lata, lecz p r z e s z ł o dwa lata.

II. N i e s ł u s z n e u w a g i p. D ü r r a:

(str. 105) twierdzenie jakoby nie wolno było zestawiać dzieł malarskich z literackiemi — obala sam p. D. — wyjątkiem dla baroku;

(str. 105) „Niepotrzebne byłyby te rysunki, gdyby uważał witraż... za ilustrację do dramatu" — w książce mej piszę właśnie przeciwnie, że dramat był uzupełnieniem witrażu (str. 47);

(str. 107) „W usta tych [fantastycznych] postaci „Wesela" włożona jest ideologia Wyspiańskiego" — w usta Szeli? Narzeczonego Marysi? Czy hetmana Branickiego?;

(str. 107) „Uważając te postaci fantastyczne [Nocy listopadowej] za ilustracje zdradza Makowiecki"...— nie, za takie właśnie ich nie uważam (por. str. 35);

(str. 109) „Kartony witrażów do okien katedry uważa Makowiecki za szczytowe dzieła Wyspiańskiego. Jest to znów dowód, jak zupełnie nie rozumie wartości istotnych twórczości Wyspiańskiego. Kardynał Puzyna, który nie chciał dopuścić tych witraży na Wawel, nie był pozbawiony zmysłu estetycznego"... — komentarzy nie dołączam;

(str. 109) „Wskazanie na związek sceny końcowej „Protesilasa i Laodamii" z pomnikiem Bartholomégo... nie jest jego [Makowieckiego] dopiero odkryciem. Kiedy wystawiano ten dramat w r. 1903 [w Krakowie] ogólnie o tym m ó w i o n o"... — nie byłem przed 33 laty na tej premierze;

(str. 109) „typ portretów [bez tła i akcesoriów] porzucił Wyspiański zupełnie po r. 1899" — wobec tego por. portrety: Ojca artysty (1900), J. Żuławskiego (1900), Helenki (1901), M. Raczyńskiej (1902) I. Solskiej (1904), I. Solskiej i L. Solskiego (1904), Wł. Mickiewicza (1904) F. Krzyształowicza (1904), dziewczynki o krzywych wargach (1904), chłopca — syna Feldma-

na (1905) oraz autoportret (ok. 1903) i szkic autoportretu (1907);

(str. 109) [Makowiecki] ,,nie zna wyrazu statyści... w znaczeniu mężowie stanu" (Lelewel) — właśnie tak, jako przeciwstawienie ich ludziom czynu, piszę na str. 180;

(str. 110) ,,Podróży [zagranicznej] sprzeciwiał się nie tyle Matejko, jak chce Makowiecki, ilu Łuszczkiewicz" — por. list Wyspiańskiego do T. Stryjeńskiego z 16 III 1890: ,,Dyrektor Matejko sprzeciwiał się tak stanowczo wyjazdowi. Nie mogę tego zrozumieć"...;

(str. 110) ,,Mylne jest też twierdzenie [Makowieckiego], że mistrz po powrocie ucznia wciągnął go do najbliższej współpracy [w kościele Mariackim]" — por. listy Wyspiańskiego do K. Maszkowskiego z 11, 12, 19, 23, grudnia 1890 r. (Lamus 1909, str. 238—250);

(str. 110) ,,... w artykule Wyspiański i Matejko — Sztuki Piękne 11 XI 1932"... — rozdział Wyspiański i Matejko czytałem na posiedzeniu Tow. Opieki nad Zabytkami Przeszłości w Warszawie w dniu 10 XI 1932 (por. obszerne streszczenie w sprawozdaniu rocznym Towarzystwa — Biuletyn Naukowy Zakładu Architektury Politechniki Warszawskiej, 1933, z. 3);

(str. 111) zaprzeczenie wpływów Matejki na dramat o Juliuszu II nie zostało poparte żadnym argumentem — bez komentarzy;

(str. 111) wpływ literacki Epilogu na pewne koncepcje ,,Wyzwolenia" ma wyłączać wpływ malarski Matejki na ukształtowanie pewnych scen — bez komentarzy.

Warszawa. *Tadeusz Makowiecki*

ODPOWIEDŹ T. MAKOWIECKIEMU

P. Makowiecki daje odpowiedź tylko na zarzuty, co do których się łudzi, iż z łatwością je zbić potrafi; od wszystkich innych się uchyla. Odpowiedź na trzy pierwsze z zakwestionowanych przez p. M. spraw mieści się w tekście mojej recenzji i mógłbym p. M. odesłać do uważniejszego jej odczytania, tak jak sam tego wymaga w związku z postaciami fantastycznymi ,,Nocy listopadowej". W recenzji zwróciłem uwagę na specjalny charakter baroku, który swą aplastycznością tak się zasadniczo różni od wszystkich innych stylów w dziejach sztuki. Opuszczone przez p. M. słowa: ,,powstały wcześniej", w zdaniu odnoszącym się do rysunków, dotyczą stosunku witraża do dramatu. Nieścisłe sformułowanie tego zdania mogło zmylić p. M. W obu jednak wypadkach przypuszczam, iż Wyspiański po raz trzeci nie podejmowałby tego samego tematu. Postacie Szeli i hetmana Branickiego są przecież historyczne! A w recenzji piszę wyraźnie: ,,w usta tych [fantastycznych] postaci ,,Wesela" włożona jest ideologia Wyspiańskiego; jego pozytywny program wypowiada ,,Rycerz-Moc". — Poglądy na malarstwo p. M. są grubo przestarzałe i nie powinno mnie dziwić oburzenie p. M. na to, iż kartonów witraży do okien katedry nie uważam za szczytowe dzieła Wyspiańskiego. — Chociaż p. M. nie był obecny na premierze ,,Protesilasa i Laodamii", to jednak mógł o niej słyszeć od kogoś (np. od p. M. Szukiewicza) i zanotować o tym z ustnej tradycji, jak to skrzętnie robił w innych wypadkach (np. informując się u śp. Włodz. Żuławskiego o pierwotnych projektach do kościoła Franciszkanów) przy czym pomijał nawet najbezpośredniejsze źródła drukowane (np. Wspomnienia arch. Ekielskiego, kierownika robót u Franciszkanów).

Zestawienie portretów Wyspiańskiego z dramatami jest u p. M. błędne, ponieważ linia rozwoju portretu Wyspiańskiego jest inna. O malowaniu portretów mówił Wyspiański do Jul. Nowaka: ,,Portret można malować kwadrans, pół godziny — godzinę, ale nie można go malować dłużej, bo to już nie będzie portret, lecz obraz na temat danej osoby — historia osoby". Obrazami na temat odtwarzanej osoby, jej historią są wszystkie najwcześniejsze portrety Wyspiańskiego, np. z pierwszego kwartału 1894 r. Na jednym z nich poeta Rydel przedstawiony jest z tomem wierszy w ręku, z tła zaś wynurza się ukwiecona głowa kobieca symbolizująca rodzaj jego poezji. Inny jest portret Rydla, późniejszy o lat cztery. Upozowanie nie jest jak dawniej reprezentacyjne, lecz charakterystyczne dla osoby; tło zaś, które tyle o ,,historii" osób mówiło, zanika. Zupełnie jeszcze inny jest typ portretów węglem postaci z bohemy krakowskiej z r. 1899,

nazwijmy go typ Rydel III. Portrety z tego roku to nie historia, lecz odbicia chwili, skróty momentalne, uproszczone do pewnych tylko aktualnych rysów psychiki, z tym silniejszą jednak wyrażone ekspresją. Typ Rydel III Wyspiański właśnie zarzucił zupełnie powracając pod pewnymi względami do typu Rydel II, któremu jednak nadaje linearną ekspresyjność typu poprzedniego. Przykładem tego rodzaju portretów może być kilka podobizn osobistości z świata artystycznego i naukowego, których cykl zamierzał wykonać w marcu 1904 r. Niebawem jednak zawiadomił A. Chmiela (5. IV): „Zaniechałem rysowania portretów, bo strój dzisiejszy jest artystycznie niemożliwy i absolutnie wybrnąć z tego założenia nie podobna". To samo twierdził już Kremer („Listy z Krakowa"): „Tegoczesne suknie zwłaszcza męskie, środek trzymające między strojem przylegającym a draperią antyku, są dla sztuki najniesforniejszymi, bo mają niby formę swoją a przecież różną od formy ciała, więc nie wyrażają ani kształtu ciała, ani się nie układają w draperie. Przypatrz się np. rękawowi naszemu? Stosuje się on niby do ramienia i ręki a gdy się przecież zarazem i fałduje, więc też ręka w nim przybiera kształt napuchłego potwora; rękaw taki nie jest ani naturą, ani draperią. A posągi przebrane w dzisiejsze nasze surduty z klapami i całym przyrządem, fraki itp. są śmiesznością, dowodzą braku uczucia estetycznego". Z tych względów Wyspiański zapewne ograniczył się głównie do portretów kobiet lub aktorów ukostiumowanych i w nich doprowadził swą sztukę portretową do najwyższej doskonałości.

Podróży za granicę Wyspiańskiego sprzeciwiał się nie tyle Matejko, ile Łuszczkiewicz, który, jak pisze W. Żuławski w wywiadzie z J. Stankiewiczową (rkps w Inst. Wyd. Biblioteka Polska): „z wypróbowaną już wielokrotnie pedagogiczną receptą — poszedł do Matejki ze skargą. Rozprawić się z Wyspiańskim wprost, wybijać z głowy artysty zamierzonej podróży, o tym nie myślał ani przez chwilę. Byłby to zabieg całkowicie stracony a wszelkie tego rodzaju dialogi między nimi kończyły się stale najniefortunniej, bo obopólną urazą na długie miesiące".

Okres najbliższej współpracy z Matejką w prezbiterium kościoła Mariackiego trwał od 15 września 1889 do 22 lutego 1890, przed podróżą za granicę. W liście do Rydla pisze Wyspiański (12. VI 1890): „Proszę Cię napisz mi, co się dzieje na rusztowaniu w nawie kościoła Mariackiego — w czem i o ile to podobne do prezbyterium — mnie się zdaje, że to musi być coś zupełnie odrębnego. Mam wrażenie, że taka rzecz jak było tamto, może się dziać tylko raz. — dla mnie to już dzisiaj jest jak jakiś prześliczny sen, na tle tego cudnego lazuru sklepienia zasianego złotemi gwiazdami". Po powrocie widywał się Wyspiański z Matejką przy sposobności wykonywania kilku kartonów do polichromii nawy i witrażów do prezbiterium. Przecież polichromia Mariacka Matejki — to przede wszystkim prezbiterium z kompozycjami Salve Regina, bo nawa jest zupełnie skromnie dekorowana. Jakże może p. M. mówić o wpływie polichromii Mariackiej na Wyspiańskiego, skoro jej nie zna! — Żałuję, że p. M. nie napisał, kiedy sporządził streszczenie swego odczytu m. i. o wpływie tej polichromii, bo, o ile sobie przypominam, na tym odczycie tak sprawy jak ja nie stawiał.

Z wpływami Matejki na Wyspiańskiego trzeba być ostrożniejszym, niż p. M., wobec wyznania samego artysty z dn. 8 sierpnia 1890 (do Stryjeńskiego): „Co mówi mistrz Matejko jest mi już zupełnie obojętną rzeczą, bo za jego zdaniem et consortes nie myślę iść..." — i wobec faktu, że kiedy malował do spółki z Mehofferem projekt dekoracji do Rudolfinum, to przyjacielowi oddał do wykonania właśnie część Matejkowską, co mu w liście z dn. 24 września 1892 przypomina: „całą partyę Matejkowską Ty opracowałeś". W kampanii anty-Matejkowskiej, wszczętej przez Witkiewicza, był po stronie autora „Sztuki i krytyki u nas", jak świadczy zdanie w liście do Mehoffera z dn. 14 stycznia 1893: „Witkiewicz był nam wszystkim potrzebny przed czterema laty i wtenczas się przydał, ale dzisiaj [w okresie post-impresjonizmu] anibym go szukał, aniby mi o jego sądy chodziło".

Ostatni zarzut p. M. nie wydaje się mi logiczny; nic nie wyłączam, tylko wskazuję bardziej prawdopodobną genezę.

Warszawa. *Jan Dürr.*

JESZCZE O PAUL ADAMIE I ŻEROMSKIM

Z powodu nieobecności w kraju dopiero teraz doszła mnie notatka Wacława Borowego (R L XI, 1), zawierająca „jeden dezyderat i dwa przypomnienia" na marginesie moich uwag o Żeromskim i Paul Adamie (R L X, 7/8). Przypomnienia te dotyczyły artykułów St. Lacka i K. W. Zawodzińskiego, którzy zwracali już przede mną uwagę na pokrewieństwo obu pisarzy. Artykuł pierwszego był całkiem zapomniany (nawet Korbut go nie rejestruje) — pominięcie więc do wybaczenia. Gorzej z drugim — bo była nim recenzja mej własnej pracy, niedawno wydrukowana w „Pionie" (1935, 26). Wynikałoby z tego posądzenie mnie albo o nieorientowanie się w bieżącej literaturze krytycznej, albo o przywłaszczenie cudzych pomysłów. W. Borowy wybrał trzecią możliwość i uprzejmie zwalił winę na żałosny stan bieżącej bibliografii literackiej w Polsce; zrobił to tak, że istotnie usprawiedliwienie to wyglądało tylko na uprzejmość. Wprawdzie stan bieżącej bibliografii literackiej jest rzeczywiście żałosny, mimo to recenzję K. W. Zawodzińskiego, zamieszczoną w znanym tygodniku, przeczytałem. Oczywiście trudno usprawiedliwiać się, że artykuł wynikł przy sposobności studiów, prowadzonych przed ukazaniem się owej recenzji. Sądziłem jednak, że samo połączenie nazwisk Adama i Żeromskiego nie jest tak wielką nowością, by aż posądzano mnie o jej odkrycie; wszak wystarczy otworzyć popularną literaturę Feldmana na stronie 292 (Wyd. VIII.), by znaleźć nazwisko Adama, wspomniane à propos „Popiołów"; wyznam, że ta wzmianka skłoniła mnie do zajęcia się tym zagadnieniem. Jeśli więc mamy przyznawać pierwszeństwo, to nie krzywdźmy i Feldmana; oczywiście nie umniejsza to bystrości dwóch innych krytyków, którzy doszli do tego samego na własną drogę. Mnie chodziło jedynie o zapełnienie umotywowaną treścią owych ogólników.

Dezyderat W. Borowego odnosił się do sprawdzenia, czy „La Force" Adama nie ukazywała się przed wydaniem książkowym w r. 1899, w jakimś czasopiśmie. Niestety, nie mogę tego w tej chwili sprawdzić. Być może „La Force" była datowana naprzód i ukazała się w połowie 1898. „Popioły" w grudniu 1899 znalazły się już w rękach żandarmerii rosyjskiej, ale potem po powrocie do rąk autora w stanie nadszczerbionym uległy rekonstrukcjom, a może doszły jeszcze jakieś dodatki. Gdyby się to kiedyś dało zbadać, możnaby z większym prawdopodobieństwem ustalić siłę wpływu Adama. Zanim jednak to nastąpi pozostaje tylko hipoteza.

Choćby zaś ona okazała się mętna, sprawa ta ma jeszcze jeden aspekt. Może świadczyć o pewnej jednolitości zjawisk literackich w danym momencie, nawet bez bezpośredniej zależności; jednolitość ta przejawia się w postawie artystycznej i moralnej, w sposobie reagowania uczuciowego, typie umysłowym i całym poglądzie na świat. Uderzające podobieństwo Adama i Żeromskiego może tu być pouczającym przykładem. Dodajmy, że współcześnie z obydwoma pisarzami podobne środki artystyczne, podobną „muzyczną" kompozycję, podobne przeplatanie patetycznego liryzmu z suchym kronikarstwem mamy w niektórych powieściach historycznych niemieckiej powieściopisarki Ricardy Huch.

August Grodzicki.

Katowice.

Redakcja „Ruchu Literackiego": Warszawa, ul. Kromera 4—18.
Administracja: Warszawa, Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska"
Nowy Świat 23-25. Tel. 27002.

REDAKTOR: PIOTR GRZEGORCZYK

Drukiem Zakładów Graficznych „Biblioteka Polska" w Bydgoszczy